

KULTURA I TURYSTYKA

K

ISSN 1232-3535 Indeks 385 581

Nr 4/2004 (228) 2,50 zł
(w tym 0% VAT)

ARKONOSZE



Pałac Staniszów

HOTEL ■ CAFE ■ RESTAURANT

58-500 Jelenia Góra
Staniszów 100
tel. 0048/75/755 84 45
fax 0048/75/755 85 34
www.palacstaniszow.pl
e-mail: hotel@palacstaniszow.pl



niezwykłe miejsce ■ komfortowe warunki ■ wyborna kuchnia ■ atrakcyjne położenie
s e r d e c z n i e z a p r a s z a m y

W numerze

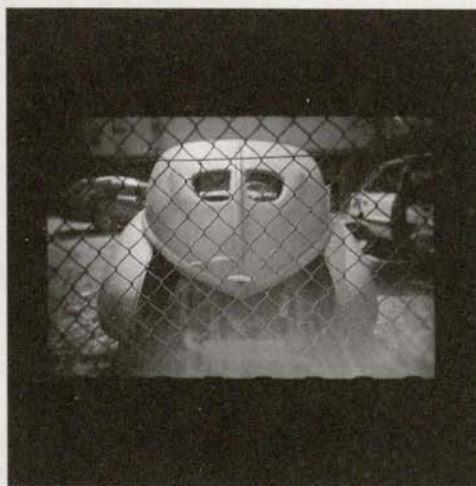
LOMO projekt - Marek Likstet	1
Do i od Redakcji - Jacek Jaśko	2
Sagenhalle - Henryk Waniek	3
Największa w historii powódź w Karkonoszach w 1897 r. - Krzysztof Sawicki	5
O omnibusach, tramwajach gazowych i nie tylko. Początki komunikacji publicznej w Kotlinie Jelenio- górskiej (część 3 ostatnia) - Przemysław Wiater	6
Ogrody wokół nas. Bukowiec - Arkadia hrabiego Redena - Małgorzata Płoch	9
„Bolesławiec. Miasto Ceramiki”	15
Dziennik podróży Andrzeja Jerzego Lecha	16
O Ludziach, Kopańcu, Chromcu i Antoniowie - Adam Bończa-Pióro	21
Wspomnienie o Jerzym Kolankowskim	22
Tajemnice Karkonosza - Ducha Gór. Od legendy do czasów współczesnych Tadeusza Różewicza - Zbigniew Kulik	24
XIII Biennale Fotografii Górskiej, Jelenia Góra	26
Antoni Rząsa „Prace”	27
Cienka, kropkowana linia - Emil Mendyk	28
Co pielęgniarz ma wspólnego ze starym autem? - Wojciech Jankowski	33
Tylko gitara i głos. Niczego innego nie będę robił - Wojciech Jarociński o swojej najnowszej płycie	34
Portrety Polaków. Oblicza Dolnego Śląska	35
Co odchodzi, co trwa	36
Archiwalia dolnośląskie	37
Warsztaty Tkackie - Kowary 2004	38
Widziany inaczej	39

LOMO projekt

Tekst i zdjęcia:
Marek Likstet

Różne są zderzenia. Dajesz pół kroku w bok, a tu inny świat. Na miarę nas tutaj. Zapis. Jeżeli nie mogę tego zmienić, to przynajmniej to zarejestruję. To taka najprostsza myśl. Poza tym, jeżeli choć trochę mamy być optymistami, to nie możemy się wstydić tego, co obecnie mamy. Jeżeli czapką nakryjemy i zabronimy, czy nie będziemy chcieli tego zapisywać, to będziemy wierzyli, że to się nigdy nie zmieni. Jeżeli ja robiłem zdjęcia - całkiem odruchowo - w czasie remontu mieszkania, to chcę pamiętać, jak to było wcześniej. Nawet jeśli się przeprowadzę, to pewien fragment mojego życia zapisany jest w innych realiach. Będę miał prawo do sentymentu. Nawet gdyby się to wszystko z czasem zamieniło w Szwajcarię, to ja mam prawo z sentymentem wracać do tych zdjęć robionych Lomo, które są trochę śmieszne, żenujące, czasami wzruszające. Nie można wyrzucać prawdy o kawałku naszego życia. Jest to także fotograficzna przygoda. Lomo - to forma zabawy - aparacik, który ma swoją legendę. Nie wiem, czy słusznie, ale tak jest. Ponieważ przypadkowo trafił w moje ręce, bawienie się nim jest czystą frajdą i ciekawością.

cd. na s. 13



Z cyklu zdjęć wykonanych aparatem Lomo



Do i od Redakcji

Wnajnowszej *Odrze*, którą otwiera redakcyjna dyskusja na temat stanu i roli kultury we współczesnej Polsce, wśród wielu trafnych sądów, zwraca uwagę wypowiedź prof. Janusza Deglera, który uważa, że władze wrocławskie w żadnym wypadku nie powinny wspierać finansowo decyzji, powodujących przenoszenie imprez o wieloletniej tradycji do Wrocławia. Zdanie to szczególnie zapadło mi w pamięć, pewnie także dlatego, że tak świetnie debiutująca w Jeleniej Górze przed rokiem impreza filmowa „Happy End”, z braku zainteresowania i wsparcia lokalnych władz, została chętnie przyjęta przez Wrocław. Mowa tu o Festiwalu Filmów Optymistycznych, którą wymyślił i zorganizował Piotr Żukowski. Przykład to szczególnie, bowiem jeleniogórzanin Piotr Żukowski po studiach w Warszawie uparł się wrócić do rodzinnego miasta i tu wcielić w życie swoje pasje. Po Festiwalu Teatrów Ulicznych czy Spotkaniach Teatralnych, „Happy End” jest następnym zjawiskiem, które znika z mapy kulturalnej miasta i regionu. W miejsce ambitnych imprez przyciągających uczestników i widzów z kraju i zagranicy, mamy kontraktowane produkcje, którymi – jak głoszą afisze – mieszkańcy i najczęściej przypadkowi gapie, raczeni są dzięki finansowej łaskawości prezydenta Jeleniej Góry.

W liście do Redakcji Pan Romuald Witczak pisze m.in.: *problematyka Kotliny Jeleniogórskiej jako mojej „małej ojczyzny” jest mi niezwykle bliska i czuję się wewnętrznie przymuszony do zabrania głosu. Pisząc o degradacji krajobrazu, dodaje: Dzisiaj wszystko rośnie sobie jak chce. Nawet punkty widokowe nie spełniają swojej roli. Zarosty samosiejkami. Z „Grzybka” wkrótce nie będzie nic widać. O sytuowaniu nowych budowli według jakiegoś planu estetycznego szkoda gadać. A sprawa brudu i niechlujstwa, choćby tego, co widzimy w „Młynówce”? Mówienie o tym na ogół wywołuje wzruszenie ramion. Władzom wystarczy odnawianie starówki, deptaków i wybranych obiektów. Myślenie całościowe, jest władzom miasta dalekie. Ludzie*

przywykają i nie zauważają, że żyją w okaleczonym krajobrazie. A szkoda, bo natura obdarzyła tę ziemię tak hojnie.

O tym, co się wokół nas dzieje często w sposób niezauważalny, traktują także zarówno tekst Henryka Wańka o Sali Legend w Szklarskiej Porębie, jak i fotograficzne wędrówki Marka Likszeta. Tak różnorodne spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość – nie zawsze budującą. Tym bardziej cenione powinny być działania tych, którzy nie chcą pozostać bierni, bez jakiegokolwiek wpływu na warunki życia, w wybranych przez siebie miejscach. Takim przykładem jest aktywność osób, które skutecznie, jak dotąd, blokują budowę kopalni skalenia w strefie krajobrazu chronionego między Kopańcem, Chromcem, Antoniowem, Małą i Starą Kamienicą. Bez blokad i hałaśliwych demonstracji, mieszkańcy wyraźnie wyartykułowali swój punkt widzenia i gotowi są rozmawiać z każdym zmieniającym się w międzyczasie „kompetentnym” urzędnikiem. W tym konkretnym przypadku sposób obrony interesów lokalnej społeczności przez nią samą godny jest naśladowania. Punktem wyjścia jest tu uświadomienie sobie wyboru przynależności, identyfikacji z miejscem zamieszkania. Ci, którzy mieszkają tu „od zawsze”, i ci, trafiający na Pogórze Izerskie z wyboru, remontujący stare domy pasjonaci swojej „małej ojczyzny”, głośno wypowiadają się o tym, jak chcieliby sobie ułożyć życie w powstającej lokalnej społeczności. Zachęceni oficjalną propagandą biorą „sprawy w swoje ręce”, nie budząc oczywiście zachwyty władców skostniałych urzędów. Jestem przekonany, że równie ważne jest wspólne stanowisko w sprawie kopalni, jak próby założenia lokalnego teatru, działalność lokalnych stowarzyszeń i organizacja imprez przez samych mieszkańców. Z władzami, jako gośćmi, a nie – „realizatorami polityki kulturalnej gminy”.

Chciałbym mieć nadzieję, że „Happy End” po gościnie we Wrocławiu powinien i może wrócić do Jeleniej Góry.

3 września 2004 r.

Jacek Jasko

Sagenhalle

Henryk Waniek

W we wczesnej młodości, w okolicach Harzu, malowniczych, lecz nędznie prowincjonalnych, śniło się Hermannowi Hendrichowi aktorstwo. Ale skończyło się na tym, że został pomocnikiem litografa. Później udał się do Berlina, gdzie zaczął malować obrazy. Początki były niefortunne. Malowidło, jakie posłał na wystawę sztuki, nie zostało przyjęte. Pojechał do Holandii, gdzie kopiował Rembrandta i ożenił się. Mógł być rok 1880, gdy znalazł się w Ameryce, gdzie pracował jako farmer, ale jeden z jego obrazów został sprzedany za 5000 dolarów. Wrócił do Berlina i jako członek artystycznej grupy ELF sięgnął po ludową baśń jako tworzywo artystyczne. Był to trop już wytyczony przez J.W. Goethego czy R. Wagnera. Tym głębiej i odważniej sięgnęła do tego źródła sztuka secesji. Hendrich teraz śnił o sztuce totalnej, oddziałującej szerokim frontem bodźców – architekturą, malarstwem, literaturą, muzyką i, oczywiście, teatrem. Wszak był niespełnionym aktorem. Pierwszą próbą w tym kierunku była Walpurgishalle w jego rodzinnym mieście. Została zlokalizowana w sąsiedztwie miejsca tradycyjnie określanego jako Plac Tańców Czarnownic (Hexentanzplatz). Wnętrze hali wypełnił wielkimi malowidłami nawiązującymi do podań o Fauście. Spłaciwszy dług wobec marzeń młodości, w wieku czterdziestu czterech lat, za porywem swych kompanów – poetów, filozofów i artystów wszelkiej maści – znalazł się w Schreiberhau, dziś znanym jako Szklarska Poręba. Wraz z Bruno Willem i pewnym przemysłowcem z Bremy założył firmę Gesellschaft Sagenhalle. W ciągu niespełna trzech miesięcy stanęła hala, czysty wykwit secesyjnego eklektyzmu, łącząca w sobie nordyckie zdobnictwo ze stylem chłopskiego budownictwa w Sudetach. Bo w artystycznym repertuarze Hendricha, od jego wędrówek do Skandynawii w młodzieńczych czasach były sentymenty norweskie. Sagenhalle w krótkim czasie opromieniła sława „atrakcji lokalnej”. Każdy chciał to zobaczyć. My również dalibyśmy się skusić przez wyzywającą estetykę tego pogańskiego sanktuarium, a jeszcze bardziej przez rozgłos, którego się dorobił ekscentryczny artysta.

Wymyślna fryzura, stentorowy głos i osobliwość spektaklu, jaki tam wyznaczał, zapewniały „świątyni legend” stałą frekwencję. Artysta oprowadzał gości od obrazu do obrazu, wygłaszając monologi. Słowa rozjaśniały mrok przedstawionej mitologii. Opierając się na fragmentach tutejszych legend, Hendrich popisywał się własną inwencją. Mieszał Nibelungów z Rübenzahlem, Wikingów z góralami karkonoskimi, elegancję mieszczańskich ideałów z plebejską fantazją. To nic, że nie były to arcydzieła, lecz zaledwie przyzwoite malowidła. Mówił nie gorzej niż malował, więc któżby nie wierzył Hendrichowi. Bliskość stacji kolejowej czyniła Hala Legend w Szklarskiej Porębie Średniej najpierwszą z miejscowych



Hala Legend w Szklarskiej Porębie, z prawej Bruno Wille, 1903 r.

atrakcji. Interes kręcił się nieźle. Od maja do października dochody z działalności Sagenhalle pozwoliły mu na dostatnie życie. Tuż obok zbudował sobie dom równie piękny jak ona. Zanim Hendrich zmarł w 1931 r., można go było zobaczyć, usłyszeć, pośmiać się zdrowo lub wziąć wszystko za dobrą monetę. W 70 urodziny, w 1926 r., Hendrich wykonał uroczysty program składający się z takich tematów, jak: Wędrowka Parsifala do Gór Olbrzymich, spotkanie Rübenzahla z Waltherem von der Vogelweide, Arie Elfów, skarbiec Zamku Wieczornego i wiele innych. Po śmierci Hendricha nie było to już to samo, choć Sagenhalle nadal działała. W latach 30. do ciągle funkcjonującej instytucji dorzucono kilka akcentów nacjonalistycznych, które może nawet byłyby w smak marzycielowi, ale czynienie Hendricha pionierem volksitowskich mitów jest nadużyciem takim samym, jak ten czyniony wobec F. Nietzschego czy G. von Lista. Gdy w latach 1945-1946 zaczęli tu przybywać nowi ludzie, mający nikle pojęcie o tej okolicy, Salę Legend uznali za miejscowe gniazdo niemczyzny. Ciekawiła również szabrowników, zainteresowanych najpierw meblami i obrazami, a potem w ogóle wszystkim, co dało się wynieść. W latach 50. była już tylko zrujnowaną resztką, spontanicznie używaną jako publiczny szalet. Nic dziwnego, że z końcem lat 50. lub początkiem 60., niewykryty sprawca zaprząsnął tam ogień i władzom lokalnym spadł z głowy ciężar ponemieckiej „świątyni legend”. Parce, na której się znajdowała, sprzedały Politechnice Wrocławskiej i już nic nie przeszkadzało, by wznieść tutaj prowizoryczny, a w latach 70. okazały ośrodek dla naukowej klasy pracującej, wielki kombinat

szkoleniowo-konferencyjny „Radość”, zrazu nowoczesny, że palce lizać, a po latach zapyziały i odpychający monument epoki „towarzysza Gierka”. Swoją ciężką stopą przydepnął miejsce po dawnej „świątyni” Hendricha, ale przecież nie zdeptał pamięci. Szczególnie, że z upływem czasu sama Hala Legend stała się legendą. Choć spłonęła, to jednak mieszkalny dom Hendricha w sąsiedztwie ocalał, lecz bez napisu ze złożonych, secesyjnych liter na zewnętrznej ścianie: *Hendrich Haus*. Na tle ośrodka Politechniki przypominał przebrzmiałe piękno kolonii artystycznej w Szklarskiej Porębie, której europejska sława nijak nie pasowała do mitu odwiecznej polskości Szklarskiej Poręby. Z czasem sprawa ocalałego, a już podupadłego domku twórcy Sagenhalle, stała się krzycząca. Istniał jako dojrzewający skandal, a coraz mniej jako zabytek. Właściciel, czyli tylekroć tu przywoływana Politechnika, doprowadził go do degradacji, z której jedynym wyjściem jest rozbiora. Interwencję miejscowego muzeum władze Politechniki odparowały trudną sytuacją finansową, choć jeszcze w tym samym sezonie sześciopiętrowy gmach poddano gruntownemu remontowi, upiększając jego ściany okładziną z aluminiowych blach. Domek Hendricha ogrodzono siatką drucianą, bo „grozi wypadkiem”. Jednym słowem, tamto się spaliło, a to trzeba będzie zburzyć, o ile znajdą się środki pieniężne. Tylko zaproszenie ognia byłoby mniej kosztowne. Formalnie dom nie został objęty ochroną zabytków, toteż służba konserwatorska nie miała i chyba nadal nie ma głowy do takich rzeczy. Co uczyni wobec tego konkretnego domu – jej sprawa. Jak się zachowa Politechnika – nie moja rzecz. Sedno problemu tkwi w tym, że Szklarska Poręba pod opiekuńczymi skrzydłami III programu Polskiego Radia, podobnie jak on, schodzi na psy. Jej historia ubożeje, ilość zabytków kurczy się, a przemiany jej krajobrazu z ostatnich dziesięcioleci wołają, jeśli nie o palec boży, to przynajmniej solidnego prokuratora. ■

Henryk Waniek – ur. w 1942 r. w Oświęcimiu. Malarz, pisarz, poszukiwacz i wędrowiec. Od kilkudziesięciu lat zaprzyjaźniony z Karkonoszami, a szczególnie ze Szklarską Porębą. W 1998 r. nagrodzony Nagrodą Kulturalną Śląska przez rząd Dolnej Saksonii. Autor ponad 300 wystaw zbiorowych i indywidualnych. Publikuje m.in. w *Tygodniku Powszechnym*, *Twórczości*, *Odrze*, *Przeglądzie Politycznym*. Wydał m.in. *Dziady Berlińskie*, *Pitagorasa na trawie*, *Księgi Śmierci*, *Hermesa w Górach Olbrzymich*. Nagrodzona przez Fundację Kultury najnowsza powieść *Finis Silesiae* została nominowana do tegorocznej Nagrody Literackiej NIKE.

Największa w historii powódź w Karkonoszach w 1897 r.

Krzysztof Sawicki

W lipcu minęła 107. rocznica największej i najbardziej tragicznej w skutkach powodzi, która wydarzyła się w Kowarach w 1897 r. W nocy z 29 na 30 lipca 1897 r. wody Jedlicy przekroczyły poziom alarmowy. Deszcz lał strumieniami, było duszno i parno. Mieszkający bliżej rzeki słyszeli narastający szum wody, potęgowany uderzeniami toczonych skał i kamieni w obmurowane brzegi Jedlicy. Nie zdawali sobie jednak sprawy z powagi sytuacji. W przeszłości kończyło się zwykle zalewaniem podwórek i piwnic. Dopiero około godz. 1.00 wszczęto spóźniony, zagłuszany przez żywioł alarm. Największy przybór wody zanotowano między godz. 4.00 a 4.30. Rankiem można było ocenić ogrom tragedii. Woda wystąpiła z brzegów, zalewając ulice, place, ogrody, podwórka. Zniosła potężne pnie drzew, z domów wymyła sprzęt domowy, meble, drzwi i okna. Pomoc była spóźniona. Wielu mieszkańców nie było już w stanie opuścić własnych mieszkań zalewanych przez wodę.

Dziela zniszczenia doświadczyło całe miasto. Na zapleczu ratusza poważnie ucierpiało wiele budynków i warsztatów rzemieślniczych. Woda zabrała zakład rzeźniczy, piekarniczy i warsztat blacharski. Stajnia, znajdująca się w oficynie destylarni, woźnica z mieszkaniem, konie, wszystko to popłynęło z nurtem rzeki. Zwłoki woźnicy wyłowiono następnego dnia w Łomnicy.

W Kowarach Górnych rzeka przerwała obwałowania i zniszczyła drogę na zakręcie. Nie wytrzymały potężne, stojące nad rzeką mury Fabryki Porcelany. Na Podgórzu wezbrana woda zniszczyła leśniczówkę. Bilans strat sporządzony przez urzędników magistratu był ogromny. Całkowitemu zniszczeniu uległo 14 domów mieszkalnych i 15 innych budowli. Znacznie uszkodzonych zostało 10 domów mieszkalnych i 5 innych budowli. Woda zmyła 12 publicznych i 9 prywatnych mostów, zabrała 3 km dróg publicznych i 11 km dróg prywatnych. Ze względu na konfigurację terenu, nieco mniejsze były straty w rolnictwie i ogrodnictwie. Żywioł zmył pół hektara ziemi uprawnej, 4 hektary łąk i hektar ogrodów.



Kowary, ul. Ogrodowa

Przystępując do usuwania szkód, ułożono w korycie Jedlicy tory kolejki wąskotorowej. Oczyszczono dno rzeki i pogłębiono koryto. Piasek i kamienie wywożono za miasto. Tym sposobem wywieziono 18 000 m³ naniesionej masy. Jednocześnie dokonywano regulacji brzegów Jedlicy. Wycięto przy tych pracach wiele zdrowych ocalałych drzew.

W pierwszych dniach po powodzi do usuwania jej skutków skierowano oddział strzelców jeleniogórskich. Od 23 sierpnia pomagały przy usuwaniu zniszczeń pododdziały 5. Dolnośląskiego Batalionu Pionierów z Głogowa. Do odbudowy przystąpiły przedsiębiorstwa i spółki, które zatrudniały 160 osób. Jak na tamte czasy, była to całkiem spora grupa robotników. Wśród zatrudnionych byli robotnicy z Galicji, Górnego Śląska oraz Polacy. Naprawa uszkodzonych obwarowań brzegów rzeki była kosztowna, ale opłaciła się, a przekonali się o tym mieszkańcy Kowar podczas powodzi w 1899 r. Zniszczenia w mieście były wówczas niewielkie.

21 sierpnia 1897 r. przybyła do Kowar cesarzowa niemiecka Augustyna Wiktoria, która obejrzała szkody poczynione przez powódź i przekazała na rzecz poszkodowanych kilka tysięcy marek. Na pamiątkę pobytu cesarzowej w Kowarach mieszkańcy ufundowali pamiątkową tablicę.

100 lat później, w 1997 r., Kowary nawiedziła kolejna powódź. Nie była ona jednak już tak tragiczna w skutkach, jak ta sprzed 100 lat.

Na podstawie monografii *Kowary*
Theodora Eisenmängera
wydanej w 1900 r. we Wrocławiu

Krzysztof Sawicki – redaktor naczelny *Kuriera Kowarskiego*,
krzysztof.sawicki@kurierkowarski.pl

O omnibusach, tramwajach gazowych i nie tylko

Początki komunikacji publicznej w Kotlinie Jeleniogórskiej

Przemysław Wiaterny

(część 3 ostatnia)

Tramwaje gazowe miały swoje prowizoryczne, drewniane zajezdnie położone na parcelach obok dawnej jeleniogórskiej gazowni przy dzisiejszej ul. Obrońców Pokoju oraz ul. Wolności 161, tam gdzie mieści się obecnie Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej. W tych miejscach, jak również przy dworcu kolejowym w Jeleniej Górze zainstalowano kompresory z gazem służące do napełniania tramwajowych zbiorników paliwowych.

Wagon motorowy jeleniogórskiego tramwaju gazowego przystosowany był do poruszania się po normalnym 1435-mm rozstawie stalowych szyn, takim jaki do dziś w Europie stosują koleje. Wóz tramwaju miał konstrukcję drewnianą ustawioną na stalowym podwoziu. Długość wozu mierzona od końców sprzęgów wynosiła 7400 mm, wysokość 3650 mm, a szerokość 2160 mm. Posiadał on dwa jednocylindrowe motory o mocy 12 koni mechanicznych każdy, napędzane sprężoną do około 7 atmosfer mieszaną gazu i powietrza, a umieszczone pod podłogą przedziału pasażerskiego. Umożliwiały one jazdę tramwaju bez konieczności zawracania. Silnik chłodzono wodą z charakterystycznego, podłużnego, 300-litrowego zbiornika umieszczonego na dachu pojazdu. Przez odkryty tylny i przedni pomost można było się dostać do wnętrza przedziału pasażerskiego. W nim znajdowały się dwie równoległe, umieszczone pod ścianami bocznymi ławki, które zapewniały miejsca siedzące dla 18 osób. Dodatkowo pojazd mógł zabrać 14 podróżnych na miejscach stojących. Tramwaj wyposażony był ponadto w dzwonek sygnalizacyjny, lampę naftową do oświetlania drogi, szyldy kierunkowe, numer kolejny i podłuż-

ną tablicę z nazwą przedsiębiorstwa. Jego załogę stanowili motorniczy i konduktor odziani w uniformy służbowe, mający swe stanowiska pracy na przednim i tylnym pomoście.

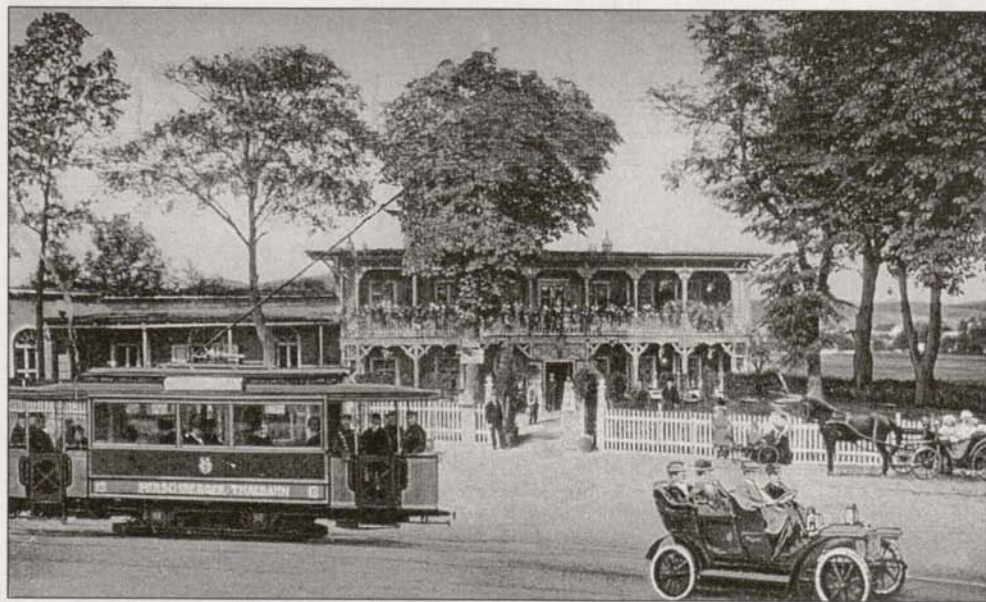
Eksploatacja techniczna pojazdu przysparzała niemałych trudności. Słaby silnik pobierał około 1 m³ gazu na przejechany kilometr, a zużycie paliwa znacznie wzrastało w wypadku ciągnięcia doczepy, jazdy pod górę, bądź z większą liczbą pasażerów. W upalne dni system chłodzenia często zawodził, woda zaś ulegała zagotowaniu i wymagała uzupełnień. Silnik zasysał mieszaninę paliwowo-powietrzną, często pełną kurzu i zanieczyszczeń, co prowadziło do jego szybkiego zatykania. Duży ciężar wozu był przyczyną głośniejszej, pełnej mocnych wstrząsów jazdy, na skutek której dochodziło do szybkiego zużycia się łożysk tocznych, co z kolei powodowało ich wymianę, trwającą w warsztatach naprawczych parę dni. Wstrząsy wpływały też niekorzystnie na stan baterii akumulatorowych i wylanie się elektrolitu, w wyniku czego nie produkowały one iskry elektrycznej niezbędnej do zapłonu mieszanki paliwowej. Zbiornik na gaz nie był zbyt szczelny, przez co gaz dostawał się do przedziału pasażerskiego. Pasażerowie często też narzekali na wyziewy powstające w wyniku pracy silnika. Wszystko to tworzyło we wnętrzu przedziału pasażerskiego swoisty mikroklimat, który nawet przy otwartych oknach był niezbyt przyjemny dla podróżujących. W jeleniogórskich tramwajach dochodziło też do eksplozji gazu, które na szczęście nie pociągnęły za sobą ofiar śmiertelnych, lecz wywierały duże wrażenie na pasażerach korzystających z ich usług.

Z powodu zbyt małej mocy silnika, szczególnie widocznej podczas pokonywania wzniesienia między Jelenią Górą a Cieplicami, tramwaj często się tutaj zatrzymywał. Pasażerowie musieli w takich wypadkach z niego wysiadać, a nawet popychać go pod górę. Czasem przy tej okazji odwiedzano bar „Zu den drei Eichen” (dziś prawie dokładnie w tym miejscu znajduje się jeleniogórska Izba Wyrzeźwien). Ten popularny lokal położony był obok dawnej, mającej w tym czasie już prawie stuletnią tradycję wytwórni likierów i wódek „W. Koerner & Co.” (dziś Jeleniogórskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego). Bar serwował m.in. sławny gorzki likier ziołowy o nazwie „Echt Stonsdorfer Bitter” („Prawdziwy staniszowski gorzki”), będący specjalnością sąsiedniej wytwórni, którego receptura produkcji była starannie strzeżona przez kolejnych członków rodziny Koernerów.

Początkowo „Hirschberger Tahlbahn GmbH.” dysponowała 7, a następnie 16 tramwajami o napędzie gazowym. Dwa z nich przybyły do Jeleniej Góry prosto z wystawy przemysłowej w Berlinie, gdzie jeden spełniał rolę eksponatu, drugi zaś kursował po linii Westend-Knie w dzielnicy Charlottenburg jako praktyczny przykład wykorzystania napędu gazowego. Każdy z tych wozów zakupiono

za sumę 13 500 marek. W okresie od 10 kwietnia do 31 grudnia 1897 r. tramwaje gazowe w Jeleniej Górze przewiozły 346 033 pasażerów, w 1898 r. – 443 425, a przez część roku 1899 – 285 524. Mimo dość wysokiej frekwencji przedsięwzięcie to, głównie z powodu niezadowalającej sprawności technicznej tramwajów gazowych, poniosło fiasco. Planowana początkowo 12-minutowa częstotliwość połączeń nie została praktycznie nigdy zrealizowana, zauważono natomiast, że idąc, można szybciej dotrzeć do celu, niż jadąc tramwajem gazowym. Na funkcjonowanie przedsiębiorstwa negatywny wpływ miał także duży wylew rzeki Kamiennej w lipcu 1897 r., który podmył część torowisk w północno-wschodniej części Cieplic.

Z tego okresu pochodzą pierwsze projekty zastąpienia trakcji gazowej przez elektryczną, jednak ostateczna decyzja o jej likwidacji zapadła dopiero pod koniec 1898 r. Próbowano, co prawda, jeszcze modyfikować przedsiębiorstwo obsługiwane przez tramwaje gazowe przez podniesienie drogi zakupu liczby pojazdów, co miało teoretycznie przyspieszyć częstotliwość ich kursowania do trzech minut, oraz przez zwiększenie do kilkunastu kompresorów z gazem ustawionych wzdłuż trasy przejazdu, jednak podejmowane działania nie wpłynęły na poprawę istniejącej sytuacji.



Jeleniogórski tramwaj na starej pocztówce

O omnibusach, tramwajach gazowych i nie tylko

W 1898 r. nabyto od doświadczonych w rozwiązywaniu podobnych problemów technicznych zakładów „Deutsche Gasbahn – Gesellschaft in Dessau” dwie lokomotywy parowe do odholowywania z trasy uszkodzonych tramwajów oraz cztery wagony doczepne. Wszystkie te zabiegi były próbą usprawnienia źle funkcjonującej komunikacji tramwajowej, jednak i one nie przyniosły spodziewanej poprawy sytuacji.

Pominąwszy opisane wyżej niedomogi jeleniogórskich tramwajów gazowych, zwrócić należy również uwagę na to, że wybudowana tutaj sieć o jednym torze, umożliwiającym tylko mijanki na przystankach powodowała – w przypadku wystąpienia awarii któregośkolwiek ze znajdujących się w ruchu pojazdów – praktycznie całe jej zablokowanie. Trwało ono aż do momentu odholowania do warsztatów naprawczych pojazdu, w którym nastąpił defekt, bądź jego naprawy na trasie, co oznaczało najczęściej konieczność przybycia specjalistycznej ekipy remontowej.

Dnia 7 listopada 1899 r. ostatni tramwaj gazowy w Jeleniej Górze zjechał do zajezdni. „Bote aus dem Riesen-Gebirge”, będąca wtedy najpoczytniejszą gazetą w Kotlinie Jeleniogórskiej, donosiła: *To już minęło! Dziś wybiły ostatnie godziny tram-*

waju gazowego. Bez śpiewów i dzwonów, jakże inaczej niż przed laty przy otwarciu, ostatni tramwaj odjedzie dziś wieczorem o godzinie 9 minut 2 spod hotelu „Tietz” w Sobieszowie.

Tak zakończyła się w Kotlinie Jeleniogórskiej era pionierskich poszukiwań rozwiązania problemu komunikacji publicznej. Napęd gazowy został w dość krótkim czasie zastąpiony trakcją elektryczną, zmniejszono rozstaw szyn do 1000 mm, przez co o wiele łatwiej można było pokonywać ciasne zakręty jeleniogórskich ulic. Dla „Elektrische Boahne”, gdyż tak nazwano w miejscowym dialekcie nowe tramwaje, wybudowano nowoczesną, murowaną zajezdnię i siłownię elektryczną, warsztaty oraz pomieszczenia socjalne dla pracowników obsługi. Prace nad zainstalowaniem sieci elektrycznej rozpoczęto w kwietniu 1899 r., a już 9 lutego następnego roku doszło do otwarcia pierwszego odcinka zelektryfikowanych tramwajów. Zakończyło się ono uroczyste w tak zasłużonym dla jeleniogórskiej komunikacji publicznej lokalu „Zu den drei Eichen”. ■

Przemysław Wiater – historyk sztuki, miłośnik Karkonoszy, mieszkaniec Szklarskiej Poręby.



Plac Piastowski w Cieplicach, czerwiec 1963 r.

fot. Waldemar Wydmuch

Ogrody wokół nas

Bukowiec – Arkadia hrabiego Redena

Małgorzata Ploch

Historia parku krajobrazowego w Bukowcu ma swój początek w roku 1785, kiedy tę malowniczo położoną między Wzgórzami Karpnickimi posiadłość, wraz z przylegającymi do niej Kostrzycą, Popowem i Jeżynami, nabył Friedrich Wilhelm von Reden. Przyszły hrabia już wtedy piastował wiele odpowiedzialnych funkcji w pruskiej administracji, m.in. dyrektora Naczelnego Urzędu Górniczego we Wrocławiu. Z tej racji stale podróżował między Śląskiem a Berlinem. Pobyt w Bukowcu, w przerwach między intensywną pracą, był dla niego ukojeniem i czasem realizowania pozazawodowych pasji.

Reden był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, otwartym na nowe prądy myślowe epoki. W młodości, w celu poszerzenia swej wiedzy, odbył podróż do Anglii, która w tym czasie wyrosła na potęgę gospodarczą świata oraz centrum kulturalne. Tam odwiedził najnowsze zakłady przemysłowe, przedsiębiorstwa górnicze i huty, ale też i nowoczesne gospodarstwa rolne. Oczarowały go nowe dokonania w architekturze, grafice, malarstwie oraz sztuce ogrodowej, a także styl życia oświeconej arystokracji angielskiej, jej aspiracje kulturalne i społeczne. Wywarło to duży wpływ na późniejszą formę jego własnej rezydencji. Do Redena mocno przemówiła idea życia „zgodnie z naturą”, wówczas bardzo postępową, z perspektywy czasu nieco idealistyczną, która obejmowała nie tylko przyrodę, ale i człowieka z jego życiem społeczno-gospodarczym. Hrabia dał temu wyraz, nadając swej posiadłości w Bukowcu arkadyjski charakter „ozdobnej farmy” (z angielska nazywanej *ornamental farm*), gdzie park i całe funkcjonujące, mające przynosić dochód, gospodarstwo zostały połączone w jedną spójną całość.



Pałac w Bukowcu

Prace w Bukowcu Reden rozpoczął w połowie 1790 r., po powrocie ze swojej trzeciej podróży do Anglii i Francji. Przywiózł z niej cenną kolekcję wyrobów artystycznych, miedziorytów, porcelany i mebli, które posłużyły za wyposażenie przyszłej rezydencji. Wśród przywiezionych książek sporo było traktatów o sztuce ogrodniczej i najnowszych w niej tendencjach. Hrabia zlecił przebudowę istniejącego tu wcześniej i kilkakrotnie już rozbudowywanego pałacu, w duchu klasycystycznym oraz założenie parku krajobrazowego inspirowanego modą angielską. W miarę wolnego czasu sam opracowywał plany. Przy obiektach budowlanych korzystał z usług architektów. Wymienia się dwóch: Karla Gottfrieda Geisslera i Friedricha Rabe z Berlina. Trudno oddzielić zakres ich prac, być może jeden kontynuował prace drugiego. Przebudowie uległy wnętrza pałacu i jego fasada, którą wzbogacono o portal wejściowy z charakterystycznym motywem palladiańskim – serlianą. W południowo-zachodnim narożniku zlikwidowano wieżę, istniejącą jeszcze w 1786 r. Budynki za i z boku pałacu przystosowano do potrzeb nowoczesnego gospodarstwa, w którym funkcjonowały m.in. serownia, browar, hodowla krów szwajcarskich, hodowla karp, różne uprawy, często eksperymentalne. Obiektom gospodarczym Geissler nadał klasycyzującą, korelującą z pałacem, formę, ujawniając przy tym duży wpływ stylu swojego mistrza Langhansa. Dziś nieco mogą dziwić podcienie wsparte na antykizujących kolumnach w obiektach inwentarskich, ale wtedy były zgodne z duchem czasu.

W realizacji parku pomagał Redenowi uzdolniony miejscowy ogrodnik, a później i projektant krajobrazu – Walter. O uroku całego założenia stanowiło doskonale wykorzystanie ukształtowania terenu i wkomponowanie wien licznych stawów (ponad 50).

Miały one znaczenie gospodarcze i osuszające, ale otoczone zadrzewionymi promenadami stanowiły tło romantycznych przechadzek. Przy niektórych zaaranżowano przystanie dla łodzi i stylowe domki do odpoczynku lub kąpeli. Również inne części gospodarstwa połączono alejami i ścież-



Zabudowania gospodarcze

kami, które stwarzały możliwość podziwiania różnorodnych widoków podczas spaceru lub przejażdżki. Na terenie posiadłości i otaczających ją wzgórzach, w różnych odstępach



...rozplanowane z największym smakiem krzewy i rośliny obrzeżają drogi i ścieżki. Idąc nimi, można dotrzeć do różnych interesujących budowli...

czasu, zaczęły się pojawiać – zgodnie z ówczesną sentymentalno-romantyczną modą – różne obiekty sztafażowe: grotta, widokowa wieża „strażnicza”, sztuczne ruiny małego rzymskiego amfiteatru, neogotyckie opactwo, belweder i inne. Również pomniki i pamiątkowe inskrypcje, m.in. na cześć znanego historyka Klöbera czy geografa Weigla, przyjaciół hrabiego. Charakterystyczne było łączenie funkcji użytkowych niektórych obiektów z funkcją wypoczynkową, np. Dom Ogrodnika czy Dom Rybaka mieściły w sobie również gustownie wyposażone

pokoje wypoczynkowe dla hrabiego lub jego gości. Do oranżerii dobudowano Salon Ogródowy z dużymi oknami wychodzącymi na staw.

W doborze i rozplanowaniu szaty roślinnej parku często uczestniczył sam hrabia. W najbliższym

otoczeniu pałacu i niektórych budowli ogrodowych tworzono bardziej regularne założenia zieleni (tzw. ogród kwiatowy lub z angielską nazwą *pleasure-ground*) z trawnikiem i starannie pielęgnowanymi rabatami kwiatowymi oraz krzewami ozdobnymi. Przechodziły one płynnie w park krajobrazowy, gdzie stosowano już głównie gatunki rodzime, aby ten z kolei niezauważalnie wtapiał się w otoczenie. Dziś duże wrażenie robią wiekowe dęby, posadzone prawdopodobnie jako drzewa soliterowe.

W 1802 r. hrabia Reden poślubił młodszą od siebie o 22 lata Friederikę von Riedesel. Friederike podzielała aspiracje artystyczne męża i jego zamiłowanie do sztuki ogrodowej, które było zbieżne z jej pasją botaniczną. To właśnie w prezencie dla żony, w drugą rocznicę ich ślubu, Reden na pobliskim wzgórzu wystawił belweder w kształcie greckiej świątyni. Z centralnej otwartej sali kolumnowej roztaczał się widok na Karkonosze i Śnieżkę. Na przeciwległej ścianie, w niszy, umieszczone były popiersia ministra Heynitsa, jednocześnie wuja i zwierzchnika Redena, oraz znanego berlińskiego architekta Friedricha Gilly. W dwóch przyległych gabinetach można było skorzystać z bogato wyposażonej biblioteki lub zaparzyć i napić się herbaty.

Po śmierci hrabiego, w 1815 r., Friederike, która zamieszkała tu wtedy na stałe i przeżyła męża o prawie 40 lat, kontynuowała rozbudowę i pielęgnację parku. Na terenie Bukowca założyła szkółkę drzew i krzewów, które rozprzestrzeniała przez katalog. W roku 1822 otrzymała nawet dyplom honorowego członka towarzystwa popierania sztuki ogrodniczej. Jednocześnie niezwykle aktywnie uczestniczyła w życiu społeczności całego regionu, co mogłoby być przedmiotem osobnego artykułu. Wkrótce wnętrza pałacu i park wzbogaciły się o wiele

cennych obiektów, które hrabina, w uznaniu za swoje społeczne zaangażowanie, otrzymała w podarunku od rodziny królewskiej (mającej od lat 20. XIX w. swoje letnie rezydencje w najbliższym sąsiedztwie). Na terenie parku była to m.in. kamienna, renesansowa studnia, zwana



...udaliśmy się do domku ogrodnika: otoczony kwiatami i krzewami wyglądał jakby znajdował się na rabacie...

studnią Templariuszy, i marmurowa ława, dar króla Fryderyka Wilhelma IV. Obiekty te, znane z opisów i ikonografii, przepadły.



...pawilon poświęcony żonie, zbudowany w stylu włoskim; dwa przeciwległe gabinety zawierają wybrane ryciny, piękne obrazy i bibeloty...

Posiadłość w Bukowcu była wspólną pasją małżonków Reden, a stworzone przez nich założenie parkowe było szeroko znane, podziwiane i opisywane przez współczesnych. Było ono również prekursorskie w tym rejonie. Na jego temat powstało wiele rycin, pocztówek, relacji w czasopiśmie i przewodnikach. Oboje małżonkowie zostali pochowani na terenie parku, w neogotyckim opactwie na zboczach Mrowca, którego ruina, wraz z ich nagrobkami, zachowała się do dziś.

Z nazwiskiem hrabiego Redena wiąże się przede wszystkim

wiele spektakularnych wydarzeń dotyczących rozwoju górnictwa i hutnictwa na Śląsku. Trafnie oceniając zasobność złóż kopalin oraz wykazując się dużym talentem organizacyjnym stał się on inicjatorem dynamicznego rozwoju

tego przemysłu. Poczynając od kopalni rudy żelaza w Tarnowskich Górach, poprzez zakładanie nowych hut i przedsiębiorstw górniczych, tworzył całą jego infrastrukturę. W celu obniżenia kosztów odwodnienia kopalni Reden sprowadził z Anglii maszynę parową. Była to pierwsza taka maszyna na kontynencie i przyciągała ona z całej Europy rzesze zainteresowanych nową techniką. Wkrótce ruszyła produkcja podobnych maszyn w królewskiej hucie w Gliwicach, w której Reden uruchomił również pierwszy na kontynencie wielki piec koksowniczy. W odlewni gliwickiej huty, oprócz produkcji podstawowej, funkcjonowały warsztaty, w których powstawały żeliwne wyroby rzemiosła artystycznego. Przywieziona przez hrabiego z Anglii pokazna kolekcja takich wyrobów posłużyła jako inspiracja dla gliwickiej produkcji. Dzięki zatrudnieniu uzdolnionych projektantów, wyroby te z czasem stały się cenionym i poszukiwanym w całej Europie towarem eksportowym. Wiele z nich znalazło się na wyposażeniu różnych parków i pałaców, również w Bukowcu, choćby żeliwne czary zdobiące wejście do belwederu.

W roku 1798 hrabia gościł w Bukowcu ówczesną pruską parę królewską. Elementem tej wizyty było zaprezentowanie dostojnym gościom podziemnej spławnej sztolni w wałbrzyskiej kopalni. Zaaranżowana przez hrabiego przejażdżka w przyozdobionych łodziach nastrojowo oświetloną sztolnią, przy dźwiękach muzyki, wywarła tak duże wrażenie, że sztolnia stała się odtąd również znaną atrakcją turystyczną. Gośćmi Bukowca byli także m.in. malarz Caspar David Friedrich oraz późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych John Quincy Adams. W 1816 r. Bukowiec odwiedziła Izabela Czartoryska, znawczyni i miłoś-

niczka ogrodów. Zachwycona, szczegółowo opisała swój pobyt w posiadłości.

Niestety, dzisiejszy park w Bukowcu nie przypomina tego tak entuzjastycznie opisywanego przez dawne źródła. Spacerując wzdłuż starych dębów, lip i buków okalających stawy, natrafiając na mocno zniszczone budowle parkowe lub zarosnięte punkty widokowe, można tylko sobie wyobrażać lata jego świetności. Pewne prace restauracyjne wykonano w latach 30. XX w. Również dziś podejmowane są różne in-

icjatywy mające na celu spopularyzowanie tego niezwykłego parku. Bukowiec stał się m.in. miejscem cyklicznych warsztatów studentów architektury krajobrazu, którzy wraz z opiekunami opracowali ciekawe koncepcje wyeksponowania walorów tego terenu. Są one rozważane przy podejmowaniu przez gminę planów na przyszłość. W ramach warsztatów odtworzono przed belwederem oś widokową na Śnieżkę. Sam belweder, a właściwie jego centralną część, odremontowano z różnych funduszy składkowych. Obecnie trwa zbieranie materiałów źródłowych w celu zrekonstruowania zdobiącego go fryzu. Stosunkowo dobrze zachowany jest



...Opactwo, godne widzenia (...) Kryptę i podziemia pokrywa bujna roślinność, pnąca się wzdłuż ścian i sklepień z nieociosanego kamienia; zdaje się ona tworzyć kwiatową siatkę i wypełnia subtelnym zapachem ten azyl śmierci (...) Jest to miejsce poświęcone refleksji, skupieniu i bólesci...

Izabela Czartoryska, 29 lipca 1816 r.

pałac i jego wnętrza, które obecnie są siedzibą Związku Gmin Karkonoskich. Nie ma jednak w nim pierwotnego wyposażenia, a przy bryle budynku razi niefortunna przybudówka z lat powojennych. Użytkowane są zabudowania gospodarcze. W dobrym stanie pozostał Domek Ogrodnika o rzadko spotykanym, nawiązującym do angielskiej wsi, kształcie dachu, który kiedyś pokryty był łupkiem. Obecnie Domek stanowi własność prywatną. Pozostałe budowle parkowe są mocno zniszczone lub nie istnieją. ■

Małgorzata Ploch – architekt.

Zdjęcia: autorka

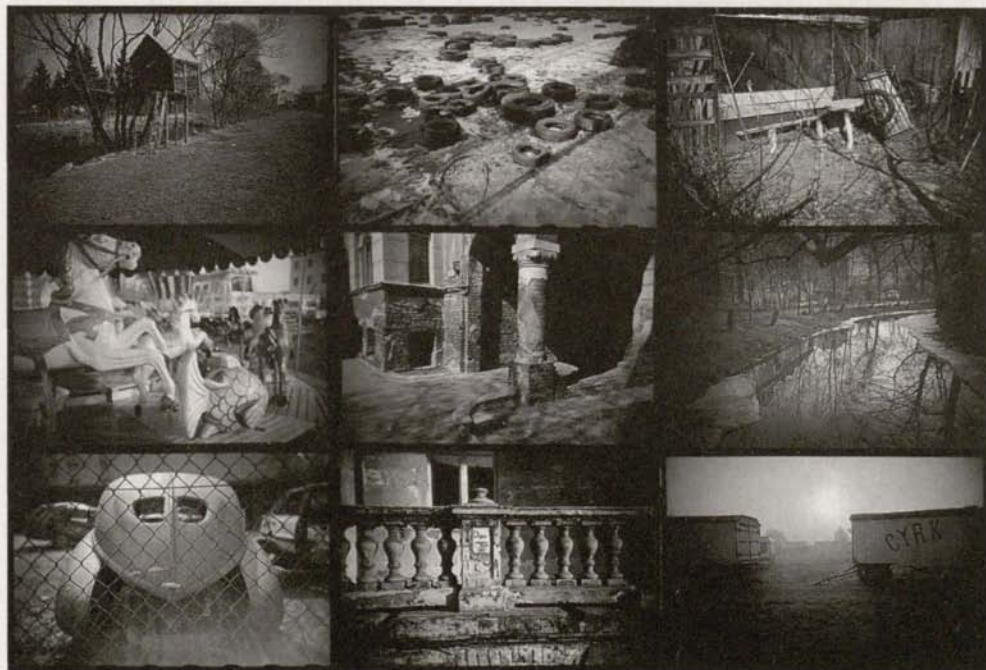
LOMO projekt

Tekst i zdjęcia:
Marek Likszet

cd. ze s. 1

Niedoskonałość Lomo staje się jego walorem, a ja się cieszę, że te zdjęcia bywają nieostre, pospieszne, trochę podglądane. Zrobiłem ich bardzo dużo, chyba 400 klatek, ale trzeba dokonać wyboru, zostawiając 100, a może tylko 50. Jest życie w tych zdjęciach, prawdziwi ludzie. Tu nie jest ważny piękny, subtelnie zrobiony zestaw, bo dopiero wszystkie te zdjęcia budują jeden obraz. Myślałem, żeby zrobić najpierw prezentację na CD-ROM-ie, bo wtedy można te zdjęcia szybko przejrzeć, klatki zmieniają się co dwie, trzy sekundy i ogląda się je bez zmęczenia. Taka wycieczka. Wtedy niekoniecznie trzeba się zastanawiać nad fotogenicznością klatek. Myślę, że plastyczność i kompozycja (jeżeli się pojawiają), wynikają z mojej natury, sądzę, że mam to „we krwi”. Gdybym rozstawiał statyw z wielką kamerą 4x5 cala, zdjęcia na pewno byłyby inne, poza tym może budziłbym większą sensację, a może nawet nie-

chęć. Rozumiem to. Jeździłem z tym Lomo przez ostatnie półtora roku. Postanowiłem przestrzeń wokół siebie zamknąć do obszaru Jeleniej Góry: od Sobieszowa po Zabobrze. To nie były planowane wyjazdy. Zabawny, prosty aparat, nie wiadomo, czy zrobione nim zdjęcie, na którym akurat bardzo ci zależy, w ogóle wyjdzie, czy będzie winietował, czy nie. Do dzisiaj nie wiem, jak to jest; to zabawa trochę jak w rosyjską ruletkę, ale skoro go mam i widzę coś, co jest w jakiś sposób zabawne, czasami intrygujące – zapisuję to. Chcę, żeby to był fotograficzny opis przestrzeni wokół nas. Czasami rzeczywiście zaglądałem w podwórka. W Cieplicach (tam pracuję) zadawałem sobie trochę trudu, żeby wejść w jakąś bramę, żeby zobaczyć drugą stronę kamienicy, gdzie być może normalnie nigdy bym nie zajrzał. Czasami, aby dojść w różne miejsca, idzie się dziwnymi ścieżkami na skróty, więc dawałem się po prostu zaskakiwać. Pewna siernieźność, niedoskonałość – nie tylko optyczna, ale także



technologiczna całego procesu robienia zdjęć tym aparatem – przystaje do takiej rzeczywistości. Daleki jestem od złośliwego opisywania czy wartościowania. Po prostu uświadomiłem sobie, że w takich miejscach mieszkają moi uczniowie, studenci. Że z tych miejsc, podwórów, bram, wychodzą ludzie, których potem widzimy na eleganckich, „oficjalnych” ulicach w centrum miasta. Do tej rzeczywistości wraca młodzież ze szkoły. Do tej rzeczywistości, którą za pomocą mojego Lomo czasami uwieczniam. Budowanie małych luksusów: nieciekawe podwórko, ze stojącymi gdzieś w rogu starymi fotelami – jeden z pokoju, drugi ze starej ciężarówki, do tego stara lodówka – i już jest miejsce do posiedzenia. Właściwie nawet nie po to, żeby pić piwo i ucztować, ale to jest namiastka tego, co można zobaczyć np. w Szwajcarii: leżak, basen i koktajl z wisienką i parasolką. Ta potrzeba odrobiny luksusu drzemie w każdym z nas, więc kiedy przyświeci słońce, przy sprzyjających warunkach, stworzymy go sobie na naszą miarę. Nie ośmieszam tego, tylko opisuję konkretną rzeczywistość. Są ludzie, którzy reperują, próbują ocalić od zniszczenia swoje auto, w związku z tym pakują je w jakieś czarne folie, oblepiają je taśmami, sznurkami

obwiązują i wygląda to jak realizacja projektu Christo. Tworzą się dziwne obiekty. Jeszcze inni chcą, żeby drzewo chyliło gałęzie ku ziemi, więc wieszają na nich cegły, brukowce. Inny obrazek: wchodzisz na podwórko, a tu jeden samochód stoi normalnie na kołach, a drugi obok leży na dachu na rozpostartym starym materacu. Ktoś ten samochód właśnie remontuje, ale widok jest surrealistyczny. Dla mnie to jest kolejny temat. Prowadząc kiedyś zajęcia w DODN-ie (to nie jest zarzut pod adresem DODN-u!), otworzyłem okno, spojrzałem w dół i szybko je zamknąłem. Poczuliem okropny smród. Tam, obok budynku, po prostu ktoś hoduje kozy. Nie miałem wtedy aparatu, a tu daszek świecący po deszczu, a na nim kilkadziesiąt równiutko poukładanych bochenków chleba. Najprawdopodobniej to właściciel suszył ten chleb i karmił nim swoje kozy. Na tym zwykłym starym dziurawym dachu mnóstwo chleba, na który, niestety, deszcz napadał. Taki dziwny obraz dwóch światów. Dajesz pół kroku w bok, a tu inny świat. Na miarę nas tutaj. No cóż, nie zawsze wszystko da się sfotografować... Ja ten zestaw traktuję czysto zachciankowo. Nie jest on dla mnie charakterystyczny, powstał „po drodze”, obok, albo raczej – niezależne od



innych rzeczy, które robię. Miałem ochotę i apetyt, żeby to zrobić i może później kontynuować, pociągnąć taki zapis przez pięć lat, może dłużej, i w końcu wytapetować kiedyś tymi zdjęciami, np. w formacie 10x15 cm, jedno pomieszczenie galerii: wszystkie ściany i sufit. Wtedy mogłoby się okazać, że wiele tych miejsc już nie istnieje, a może i rzeczywistość będzie inna. Rzecz nie w tym, żeby tymi zdjęciami bawić się w dziennikarstwo interwencyjne i krytykę rzeczywistości. Ale wszystkie te miejsca, które znikają niemalże na naszych oczach, również kształtują miasto na przestrzeni lat. One opowiadają o nas w nim. Na dobre i złe są zapisem epoki, czasu, w którym żyjemy. I nie chodzi tu o publicystykę. Jeżeli nie mogę tego zmienić, to przynajmniej to zarejestruję. To taka najprostsza myśl. Poza tym, jeżeli choć trochę mamy być optymistami, nie możemy wstydić się tego, co jest obecnie. Jeżeli będziemy udawać, że takich miejsc nie ma i nie będziemy chcieli tego zapisywać, to znaczy, że uznaliśmy, że nic się nigdy nie zmieni. Jeżeli robiłem zdjęcia – całkiem odruchowo – np. w czasie remontu mieszkania, to dlatego, że chcę pamiętać, jak ono wyglądało wcześniej i nawet jeśli się przeprowadzę, to pewien fragment mojego życia jest zapisany. Będę miał prawo do sentymentu. Tak więc, nawet jeśli nasze otoczenie zamieni się z czasem w Szwajcarię, to ja mam prawo ze wzruszeniem wracać do tych zdjęć zrobionych Lomo: trochę śmiesznych, dla kogoś może wstydliwych, czasami poruszających. Dla mnie jest to także fotograficzna przygoda. Kiedy robiłem grafiki, czy zdjęcia wielkoformatową kamerą, to wszystko było w zgodzie z moją osobowością; pracowałem pomalutku, niespiesznie smakując kompozycję. Tym razem byłem zwolniony z tego „obowiązku” komponowania, cyzelowania, bawienia się stojącym czasem. Nigdy dotąd tak nie pracowałem. Naciskam i nic – wyszło – nie wyszło. Bez lęku. Ćwiczenie rozluźniające, które być może dodam do tego 4x5 cala. Kropelka luzu.

Wysłuchał Jacek Jaśko
Jelenia Góra, lipiec/sierpień 2004

Marek Liksztet – ur. w 1951 r. w Kowarach. Grafik, fotograf i nauczyciel. Mieszka w Jeleniej Górze.

Wydaje się

„Bolesławiec. Miasto Ceramiki”

Pod koniec sierpnia, gdy w Bolesławcu trwał 40. Plener Ceramiczno-Rzeźbiarski, do rąk czytelników trafiła najnowsza publikacja jeleniogórskiej oficyny Moniatowicz Foto Studio. Po *Historycznym przewodniku po mieście*

i *Bolesławcu na dawnych pocztówkach* jest to kolejna pozycja wydana przez urodzonego pod Bolesławcem fotografa i wydawcę Janusza Moniatowicza.



Ceramika towarzyszyła człowiekowi od zawsze. Była w momencie, gdy oswojał zwierzęta i zakłinał naturę, także wówczas, gdy po wygranych bitwach wznosił toast... Gdy przyglądamy się ceramicznym dziełom sztuki, mamy świadomość ich bliskości, bo podobnie, jak biblijny człowiek – narodzili się z gliny. To wszystko przypomina nam, że mimo wszechobecnego chaosu istnieje jednak jakiś ukryty porządek, który sprawia, że podobnie jak przed wiekami, aby powstał ceramiczny przedmiot, potrzeba trzech sił – ziemi, ognia i rąk ludzkich – napisała we wstępie starannie wydanego albumu Katarzyna Żak, absolwentka bolesławieckiego I Liceum Ogólnokształcącego, do którego wróciła po latach jako nauczycielka.

W liczącym 80 stron wydawnictwie, znajdziemy i historię Bolesławca, i dzieje bolesławieckiej ceramiki, a także wiele informacji dotyczących Muzeum Ceramiki. Osobny rozdział traktuje o jedynych w swoim rodzaju Plenerze Ceramiczno-Rzeźbiarskim i obchodzonym pod koniec sierpnia Święcie Ceramiki. Wydany w polsko-niemieckiej wersji językowej album ilustruje kilkadziesiąt fotografii autorstwa Janusza Moniatowicza i reprodukcje zdjęć z początków ubiegłego stulecia. (J)

„Bolesławiec. Miasto Ceramiki”

Fotografie Janusz Moniatowicz, tekst Katarzyna Żak.
Moniatowicz Foto Studio, Jelenia Góra, 2004.
ISBN 83-97732-29-X

„Dziennik podróży” – listy od Andrzeja Jerzego Lecha, fotografa zamieszkałego w Nowym Jorku.



Jersey City, New Jersey. 27 czerwca 2004 r. Niedziela

Moje pierwsze w życiu zdjęcie stereofotograficzne. Widok z okna sypialni w domu, w którym od niedawna mieszkam. Jersey Avenue w mieście, które tak spontanicznie stało się moim miastem, moim miejscem od wielu już lat. Z tego samego okna, ktoś inny kiedyś wcześniej, widział smukłe dwie wieże World Trade Center. Ja widzę teraz tylko ślad po nich, ślad w mojej pamięci. Obraz urojony. Obraz wymaginowany. Obraz zatrzymany na zawsze i na zawsze zapamiętany.

Drzewa na tej małej fotografii od ponad roku są umarłe.

Wewnętrzne, pełne niespodzianek podwórko jest niedbale porośnięte trawą i dużymi krzewami. Kiedyś budził mnie tu prawdziwy kogut. W nocy słychać miauczenie kotów i nieznośną, głośną muzykę. Ktoś obok, nad ranem, rozmawia głośno przez telefon w nieznanym mi języku. W powietrzu unosi się gęsty, tłusty zapach z pobliskiej chińskiej restauracji.

Chyba przestanę już dziś pisać do Ciebie, bo zrobiło się jakoś bardzo smutno, może nawet ponuro...

Moja „dwuoka” kamera fotograficzna to, z dumą zrobiony w 1893 r. w Paryżu, metalowy, pięknie ważący, niezwykle elegancki „Verascope” z numerem 51422. Lubię tę przedziwną konstrukcję mechaniczno-optyczną od pierwszego wejrzenia. Jesteśmy już razem ponad dwa miesiące.

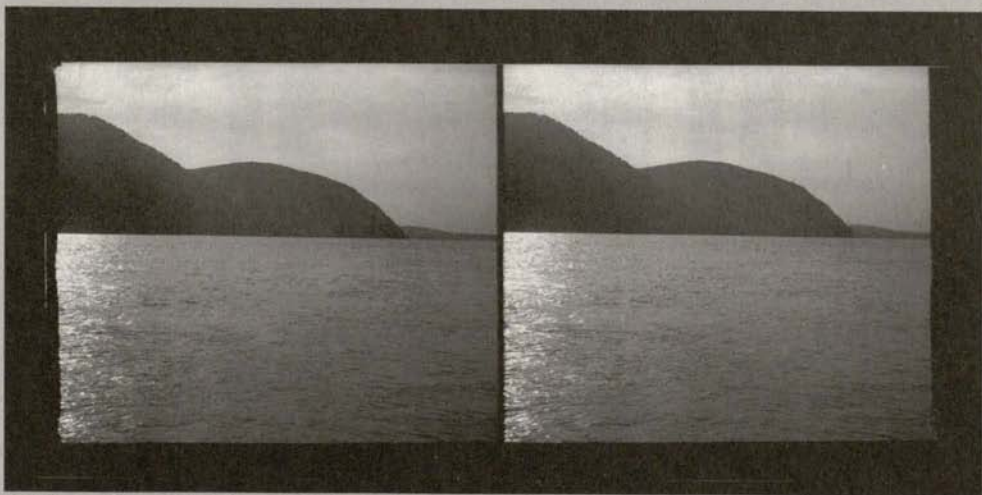


Nowy Jork, Nowy Jork. 29 czerwca 2004 r. Poniedziałek

Kiczowaty, prawie pocztówkowy, widok na Dolny Manhattan ze słynnej brooklyńskiej promenady. Z tego miejsca ładnie też widać mosty East River i wcześniej malowniczy South Street See Port. Zachodziło słońce.

Jakie zmiany w tym miejskim pejzażu przyniosą kolejne dni, tygodnie, miesiące? Martwię się.

Na horyzoncie, po lewej stronie, rysuje się Jersey City w New Jersey. Początek Ameryki...

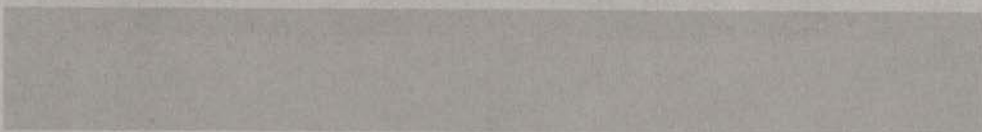


Cold Spring, Nowy Jork. 4 lipca 2004 r. Niedziela

Cold Spring niedaleko Nowego Jorku. Ta sama rzeka Hudson. Tu bardzo szeroka. Często powracam w to miejsce, fotografując je o różnych porach roku, o różnych porach dnia.

Cisza rzeki. Cisza, która boli jak samotność...

Twoja fotografia. *Aware* – smutek bardziej dotkliwy, nostalgia związana z jesienią. A inne Twoje nostalgiae? *Sabi* – samotność i spokój. *Wabi* – smutek zwyczajny. A Twoje inne smutki? *Yugen* – pięknie nazwane przecucie nieosiągalnego nieznanego.



Nowy Jork, Nowy Jork. 10 lipca 2004 r. Sobota

Manhattan. Dzielnica Chelsea. Rzeka Hudson. Po drugiej stronie rzeki New Jersey. Pozostałości po starym molo. Chelsea po latach upadku i rozpusty przeżywa teraz wielki artystyczny boom. Drogie, ekscentryczne galerie, ekstrawaganckie sklepy z mydłami, najlepsi artyści i bogaci homoseksualiści. Ta sama Chelsea. Ulica 13 przy 9 Alei. Knaipa o nazwie „The Hog Pit Barbecue New York”. To tu praktykuję od ponad roku bycie kucharzem, myśląc o kolejnych zdjęciach nie tylko stereofotograficznych.



Asbury Park, New Jersey. 12 lipca 2004 r. Poniedziałek

Teraz miasto widmo, miasto duch. *My City of Ruins* Brucea Springsteena. W latach 40. XX w. modny letni kurort. Później przez błędy polityków zasiedlane przez białych świrów, czarne prostytutki i kolorowych transwestytów straciło szybko swój urok i wdzięk. Asbury Park leży tuż nad Atlantykiem. Na plaży zamiast muszelek można teraz znaleźć dziesiątki zużytych prezerwatyw i tyleż samo puszek po najtańszym piwie. Opuszczone kasyna gry, teatry, motele i hotele, pozostałości po wesołym miasteczku, zdewastowane sale widowiskowe, pozabijane deskami okna wystawowe galerii sztuki i sklepów. Asbury Park fotografuję od kilku lat.



Nowy Jork, Nowy Jork. 13 lipca 2004 r. Wtorek

Okolice Chelsea Meat Packing District. Po lewej stronie Dolny Manhattan, po prawej wieżowce Jersey City. Kiedy patrzę się na te fotografie, wspominam inny dzień przy tej samej rzece.

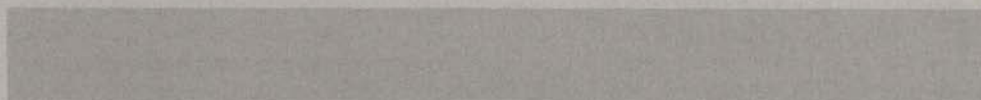
Nowy Jork, Nowy Jork. 30 maja 1998 r. Sobota

Siedzę na schodach przy Fort Washington Avenue. To jest już prawie koniec Manhattanu. Na dole widzę bardzo szeroką w tym miejscu rzekę Hudson, która ginie gdzieś we mgle. Jest bardzo gorąco i jak zwykle o tej porze roku bardzo wilgotno. Tak sobie błogo myślę o wszystkim i o niczym jednocześnie. Ogarniam to, co widzę, wzrokiem i chcę teraz tylko być. Bez myślenia, bez oceniania, bez intelektu. Zapachy i obrazy. Schody, na których siedzę, są wysokie i trochę „paryskie”. Myślę o fotografii, choć miałem nie myśleć wcale. Chcę Ci jeszcze tylko powiedzieć, że jestem, i rzeka ta mi w tym pomaga. Nic wielkiego. Film bez końca i bez początku. Góry i wody. Prawdy są tylko pozorne. Kantowska „rzecz w rzeczy”. Alchemia fotografii ma wiele form...



Jersey City, New Jersey. 18 lipca 2004 r. Niedziela

Kolejna niedziela. Widok z okna mojego nowego domu. Padał lekki deszcz...



Jersey City, New Jersey. 19 lipca 2004 r. Poniedziałek

Stary, historyczny Morris Canal. To tuż obok mojego domu, w którym mieszkamy, blisko budynku, w którym mam jeszcze studio. Kiedyś po tym kanale pływały wielkie barki przewożące węgiel z Pensylwanii do Nowego Jorku. Teraz nikomu niepotrzebny, niszczeje.



Jersey City, New Jersey. 1 sierpnia 2004 r. Niedziela

To zdjęcie jest już historią. Pół kominu bezczelnie i zarozumiale, bez szacunku do przeszłości zostało cegła po cegle rozebrane. Słynna kiedyś fabryka tytoniu do palenia i do żucia. Przez ostatnie kilkanaście lat przytułek, azyl, schronienie, miejsce pracy dla artystów z całego świata. Mój komin, moja fabryka, miejsce mojej pracy, miejsce mojej fotografii. Odchodzenie mnie martwi. Powoli się aklimatyzuję, przyzwyczajam, przywiązuję. Jeszcze wolniej się „odaklimatyzowuję”, odzwyczajam, odwiązuję.



Jersey City, New Jersey. 15 sierpnia 2004 r. Niedziela

Byłem wczoraj na cmentarzu. To niezwykle New York Bay Cemetery w Jersey City. Stary, są tam groby nawet z czasów Wojny Domowej, zaniedbany, opuszczony, porośnięty bujnymi trawami, dużymi krzewami i wielkimi drzewami. Z tego cmentarza dobrze widać Zatokę Nowojorską, most Brooklyński, rzekę Hudson, rzekę Wschodnią, wiszący Verrazano, Statuę Wolności i początek Atlantyku. Padał deszcz. Było ciemno i mistycznie. Lubię cmentarze, ten szczególnie. Kiedyś mieszkaliśmy blisko niego i nie było dnia, żebym na nim nie był. Chodziłem sam, chodziłem z Magdą, z Agnieszką i z Anią, chodziłem z psem. Robiłem dziesiątki zdjęć. Byłem świadkiem zmian na gorsze, brzydsze, nowe. Burzono stare wiadukty porośnięte dzikim winem, na miejscu których postawiono ohydnie wyglądające, bez wyrazu i ducha, betonowe mosty. Budowano nowe drogi, przewracano stare drewniane słupy telegraficzne, zastępując je metalowymi, zimnymi... Kiedyś z tego cmentarza, z miejsca przy grobie z napisem „Moje”, pijąc z Magdą „Chianti” z butelki, patrzyłem się na majestatycznie wystające z i tak już wysokich budynków Dolnego Manhattanu, dwie, surowo wyglądające wieże World Trade Center. To był wspaniały widok. A świat dalej jest piękny i tylko my wiemy, dlaczego... Te fotografie zrobiłem dla Ciebie. Fotografia mówi więcej. Stereofotografia mówi dwa razy więcej.

Andrzej Jerzy Lech – ur. we Wrocławiu w 1955 r. W latach 1981-1984 studiował fotografię w Ostrawie. Od 1989 r. mieszka w Jersey City. Jego prace znajdują się m.in. w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi, Muzeum Narodowym we Wrocławiu, John McGarry, Young and Rubicam Advertising, Robin Rice Gallery, Icon Pictures w Nowym Jorku.

O Ludziach, Kopańcu, Chromcu i Antoniowie

Tekst i zdjęcia: Adam Bończa-Pióro

Tego lata w górach było tłoczno. Nie udało się załatwić noclegu w „Samotni” – miejscu, z którym związałem swoje plany pobytu w górach. „Strzecha Akademicka” też była niedostępna. Zawiedziony wędrowałem palcem po mapie. Kopaniec, Chromiec, Antoniów. Nazwy odległe, nieznane, nic niemówiące. Ale góry, Góry Izerskie! Decyzja: jadę! Jadę w ciemno. Chyba łatwiej było pójść niż pojechać...

Pusto. Wyludnione miejsca. Karkonoski Dziki Zachód. Małe poletka otoczone sznurami i blaszanymi puszkami. Ugory, łąki z metrową trawą i te wspaniałe, bajeczne kolory...

Wśród pól i poletek, tu i tam chałupy, przy których zatrzymał się czas. Krzywe ściany, łatanie dachy, okna z pożółkłymi firanami, a z okien patrzyły na mnie czyjeś oczy. Czułem na sobie te spojrzenia: czujne, może nawet niechętne.

Wszedłem na nieznany teren. Studnia. Nabrałem wody i piłem. Przy tej studni, na ziemi niczyjej poznałem staruszkę. Mała, zgarbiona o ciemnej od słońca twarzy. Odważna – zapytałem o sklep – tam będzie – macha ręką – o nocleg – olbrzymie zdziwienie. U mnie w stodołę na sianie, ale ani papierosa, ani świecy. No i drewna narąbać trzeba. Nieco głodny, miałem już nocleg. Później opowiadanie. Chaotyczne i nerwowe.

Było przesiedlenie, Ziemię Zachodnią – Kopaniec. Była też wojna, praca u Niemca 14 godzin na dobę, brukiew, ziemniaki. Przed wojną też u chłopca. Bogatego, gdzieś w Polsce Centralnej. Mąż umarł. Palił. Dużo, bardzo dużo. Dzieci porosły, odeszły, zapomniały. Nie odwiedzały nawet. Cały jej świat to pole. Teraz skurczone do kilku metrów. Z cebulą, marchwią i kwiatkami.

Opowiadała, a ja robiłem zdjęcia. Nie pytała po co, dlaczego. I dobrze.

Rano przywitała mnie upiornie słodką herbatą i przedstawiła sąsiadów, dobrych znajomych. Smutni, ale jakoś pogodzeni z losem. Czasami się śmieją, nawet ze



mnie mieszcucha, „co to życia zaznał mało”. Pracują dorywczo, na budowach, przy ścinie drzew, sadzonkach leśnych, zbierają grzyby. Chodzą też „na nagonkę”, bo to tereny dewizowo-myśliwskie.

Robię zdjęcia. Portrety. Ludzie i domy. Ich miejsca. Gdy ich fotografuję, prostują się, a nawet uśmiechają. Uwiecznieni w roku 1985.

Później był rok 1988. Ponowna wizyta w Kopańcu. Ci sami ludzie, te same problemy. Ale ja już jestem tu rozpoznawany. Odwiedziny, rozmowy, opo-

wieści. Tadzia i jego kumpli chciałem fotografować – odmówili. Zrobiłem portret „zbieracza pierza”. Do dziś nie znam jego imienia, cichy, mało mówny. Codziennie wędrował i zbierał. Zbierał wszystko. Zrobiłem też dwa portrety zbieraczek. Co dokładnie robiły, nie wiem. Istniały i namiętnie palily.

W Kopańcu byłem jeszcze dwa, trzy razy. Udało mi się przełamać lody, „zaprzyjaźnić” z Tadzim i jego kumplami. „Mocna wiśnia” rozwiązywała języki. Opowieści dziwne o pokręconych losach snuły się już swobodnie. No i mogłem robić zdjęcia – portrety ludzi, których losem było bycie tu w Kopańcu, Chromcu czy Antoniowie.

Portretów przybywało. Wszystkie czarno-białe, ziarniste. Tak powstał cykl blisko trzydziestu portretów „Znani bliżej”. Ludzie, z którymi przegadałem godziny, poznałem ich historie, smutki i radości, a nawet dramaty.



W roku 1997, gdy Wrocław został zalany, powódź zabrała lwia część zbioru. Ciemnia i pracownia pod wodą, a tam zostały – nie wiem dlaczego – gotowe zdjęcia i co gorsze, negatywy.

Wrocław, Kopaniec, lipiec 2004 r.

Adam Bończa-Pióro – ur. w 1951 r. w Przesiece. Malarz, fotografuje od lat 80. Mieszka we Wrocławiu.

Wspomnienie



Jerzy Kolankowski
(1915-2002)

Życiorys Jerzego Kolankowskiego jest odzwierciedleniem splątanych losów wielu Polaków urodzonych „na krawędzi światów”. Urodzony na Morawach, związany z Galicją, wojnę spędził w Krakowie, by ostatecznie osiąść w Cieplicach. Jako doświadczony lekarz został ordynatorem oddziału w cieplickim szpitalu, który za Jego sprawą stał się partnerem wrocławskiej Kliniki Dermatologicznej. Jego pasje sięgały daleko poza zawodowe horyzonty. Pisał powieści, wspomnienia, fraszki, tłumaczył z francuskiego. Był członkiem Związku Literatów Polskich i założycielem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Był także współorganizatorem Pogotowia Górskiego w Sudetach i Sudeckiego Klubu Wysokogórskiego, którego był prezesem. Podziwiany przez ludzi wielu środowisk i generacji, do ostatnich chwil zachował młodzieńczą aktywność i pasję. Malował bliskie sercu pejzaże, widoki z Karkonoszy i Jeleniej Góry.

Żegnając w sierpniu przed dwoma laty Jerzego Kolankowskiego, żegnaliśmy pioniera Jeleniej Góry, lekarza, taternika, malarza i poetę – człowieka wielu pasji i osiągnięć.

Anegdoty o dr. Jerzym Kolankowskim – „Kolanie”

Kapcie prezesa

Kiedy to było? Jeszcze nie tak dawno... Są ludzie i ludziska, którzy pamiętają, jak dr Jerzy Kolankowski prezesował w Sudeckim Klubie Wysokogórskim w Jeleniej Górze. Był aktywny i zawsze wysportowany. W latach 70. chatka „Pod Śmielcem” w Karkonoszach była regularnie odwiedzana przez wspinaczy SKW i Klubu Wysokogórskiego



O Jerzym Kolankowskim

z Wrocławia. Może nie zawsze w chatce obowiązywały przyzwoite maniere, ale porządek przynajmniej był należyty. Tutaj wszyscy czują się dobrze, gdyż atmosfera chatkowa jest każdego dnia niepowtarzalna. Jednym z żelaznych tematów jest – jakże by inaczej – „tojenie ścian w Śnieżnych Kotlach”. W chatce były i są zwyczaje, których należy przestrzegać. Powyżej 1000 metrów nad poziomem morza prawo i przywileje zwane „Góorskimi” to rzecz święta. Był między innymi przywilej prezesa SKW dr. Kolankowskiego, który w chatce miał (tak zwane) łóżko prezesa, plecak prezesa, kurtkę prezesa, kapcie prezesa. To były rzeczy, których nikomu nie wolno było dotykać (chyba że w górach „Kolana” nie było).

Kiedyś stali bywalcy, nie spodziewając się wizyty prezesa, korzystali z jego przywilejów. Ktoś spał w jego łóżku, ktoś pożyczył kurtkę i plecak prezesa! „Kolan”, wchodząc do chatki dziarskim krokiem, przywitał się z młodszymi klubowiczami. Nie spodziewał się zmian, ani tego, że ktoś ośmieli się złamać zasady. Zdejmując buty, chciał założyć kapcie – kapcie prezesa, leżące pod łóżkiem. A tu ich nie ma. Kto mógł sobie na to pozwolić? Dostało się wtedy Jurkowi Woźnicy za chodzenie w prezesowych kapciach! Oj, dostało. Za pozostałe rzeczy też. Nawet za paskudną pogodę też. Następnego dnia „Kolan” wyszedł w góry z zamiarem powrotu do chatki. Woźnica obrażony po awanturze, myślał o zrobieniu dowcipu. Wziął dwa solidne gwoździe, młotek i kapcie prezesa – nie zważając na ostrzeżenia kolegów – równiutko przybił do podłogi przy łóżku. Kiedy zmęczony „Kolan” wrócił do chatki, wszyscy czekali w napięciu na efekt „dowcipu” Jurka Woźnicy.

Zrobiło się cicho, gdy „Kolan” zdjął buty, wsunął nogi w kapcie i próbując ruszyć z miejsca, padł na podłogę. Grobową ciszę przerwał jedynie charakterystyczny śmiech Woźnicy. Wrzawy i rozmów nie sposób dalej przytoczyć. Za ten niecny kawał „Kolan” wyrzucił Woźnicę z SKW. Na długo po tym incydencie chętnych do robienia prezesowi kawałów jakby zabrakło..

(mczer)

Tajemnice Karkonosza – Ducha Gór

Od legendy do czasów współczesnych Tadeusza Różewicza

Zbigniew Kulik

Duch Gór – Karkonosz – liczy sobie już kilkaset lat, ba, może nawet jest tak stary jak te góry, w których mieszka... I choć ostatnio stracił trochę na swojej popularności – ustępując miejsca Wiedźminowi i Władcy Pierścieni – trwa przecież nadal, wpisując się w pełne tajemnic i niesamowitości karkonoskie krajobrazy.



Gdyby na mapie Karkonoszy zaznaczyć miejsca, gdzie widziano Ducha Gór na przestrzeni wieków, to właściwie nie byłoby takiego fragmentu, gdzie go nie było. Czasem pojawiał się pod postacią ludzką – był leśniczym, laborantem, przewodnikiem górskim, wędrowcem. Widywano go na niebie jako kłębiastą chmurę ponad górami, innym razem – jako tajemniczą zjawę w karkonoskim lesie. Nierzadko przybierał też postacie zwierząt. Raz był duchem dobrym, a innym

razem duchem złym – wpadającym w złość, najczęściej gdy opowiadano o nim niestworzone historie. Winiono go za złą pogodę, za deszcz i mgłę oraz za wszystkie niesamowite zdarzenia, jakie miały miejsce w Karkonoszach.

Bodajże najstojniejszym wizerunkiem Karkonosza jest jego przedstawienie na mapie Helwiga z 1561 r., kiedy u podnóża góry zwanej Riesen-berg („Góra Olbrzymia”), Duch Gór pokazany jest jako skrzat na dwóch nogach z długim kijem w ręku, z rogami jelenimi na głowie.

Literaci o Duchu

Opowieści o kolejnych wyczynach Karkonosza przekazywano sobie z ust do ust. Ten coś dodał – tamten co nieco ujął. Fakty pomieszały się ze zmyśleniem tak bardzo, że dzisiaj trudno powiedzieć, jak było naprawdę...

Tadeusz Steć, autor monografii krajoznawczej *Karkonosze*, napisał przed laty: *Niewiele jest chyba wyimaginowanych postaci, które byłyby tak bardzo w świecie znane, którym poświęcono by tyle trudu i papieru, co jemu. Sama tylko bibliografia naukowa, sięgająca XVI w., obejmuje blisko 200 pozycji (w tym ok. 40 w języku czeskim)... Do tego dołączają się niezliczone wydania zbiorów bajek, kilka utworów dramatycznych. Nawet 5 oper jemu zostało poświęconych!*

Duch Gór obecny jest głównie w literaturze niemieckiej, ale także i czeskiej (gdzie zwany jest Krkonosem lub Panem Janem), jak i w polskiej. W Czechach opowiadania o nim są równie popularne, jak legenda o Rumcajsie z Jičina, (tym samym, którego pamiętamy ze starych „wieczorynek”). Jego zmaterializowane postacie przedstawiane są na wielu rycinach, grafikach,

malowidłach, czy na współczesnych widokówkach i w oryginalnych rzeźbach.

W literaturze polskiej Karkonosz pojawił się po raz pierwszy w 1677 r., kiedy to stolnik żmudzki Teodor Billewicz w czasie swojej wycieczki po Karkonoszach wspominał o „diable Rywenzahlu”. Potem jeszcze przypominany jest przez wielu polskich podróżników, m.in. w 1847 r. przez Wincentego Pola.

W połowie XIX w. pisze o nim w poemacie *Sudety* nasz podróżnik i rysownik Z.B. Stęczyński:

(...)

A te łyse ściany

*Zamieszkuje Rzepolicz, rzadko widywany,
Ale silny, swawolny duch, co zawsze chodzi
I podróżnych w kierunkach podróży zawodzi,
Pokazując się jako myśliwiec świadomy,
Znający doskonale przejścia i rozłomy.*

(...)

Po II wojnie światowej Duchowi Gór nadano polskie imię Liczyrzepa, które powstało przez dosłowne przetłumaczenie jego nazwy niemieckiej. Do popularyzacji tej nazwy przyczynił się Józef Sykulski, polonista, który zaraz po zakończeniu wojny przyjechał do Jeleniej Góry z Krakowa. Napisał on broszurkę *Liczyrzepa zły duch Karkonoszy i Jeleniej Góry*, wydaną w 1945 r. przez Księgarnię ZNP „Oświata” w Jeleniej Górze. Jak podkreślano, była ona „pierwszą polską książką na Dolnym Śląsku”. Reprint opowiadań Sykulskiego ukazał się w 1999 r. staraniem Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu w rocznicę XXV-lecia działalności.

W latach 80. Józef Sykulski uznał, że popełnił błąd, nazywając Ducha Gór Liczyrzepą. *Dzisiaj nazwałbym go Skarbnikiem Ryfejskim. Ale to, co stało się, tego już nie można dzisiaj odmienić* – pisał Sykulski.

Do popularyzacji nowego imienia Karkonosza na Dolnym Śląsku przyczyniła się także gra liczbowa „Liczyrzepka”. Dzięki niej wielu grających wówczas Dolnoślązaków, do których uśmiechnął się szczęśliwy los, stało się ludźmi zamożnymi.

Nie sposób zliczyć autorów przygód związanych z Karkonoszem – tych, którzy przelali je na papier piórem lub pędzlem. Zainteresowanych zachę-



Tadeusz Różewicz

tot. Zbigniew Kulik

cam do lektury *Znanych i nieznanych historii o Rzepiörze* M.J. Praetoriusa oraz *Pięciu legend o Rzepiörze* J.K.A. Musäusa – wydanych ostatnio przez Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze.

Poeta i Duch

Przebywający regularnie w Karkonoszach od II poł. lat 90. XX w. Tadeusz Różewicz również zainteresował się Duchem Gór. W swojej pięknej *Gawędzie o spóźnionej miłości* napisał m.in.:

(...)

pod śniegiem śni Rzepiör

z mapy Helwiga

Duch Gór odwiedza Karpacz

Rübezahl zagląda do Krummhübel

(...)

Podczas swoich pobytów w Karpaczu słynny polski poeta i dramaturg napisał także opowiadanie: *Dziwna i nieprawdziwa historia o spotkaniu z Rübezahlem czyli Janem Liczyrzepą w Karpaczu*, które zostało opublikowane w grudniu

1997 r. siłami jego przyjaciół z Karpacza i wydane w trzystu numerowanych egzemplarzach. Utwór ten jest dowodem na to, że Duch Gór i dzisiaj odwiedza miasto pod Śnieżką.

(...)

Nie wiem, jak to się stało, ale znalazłem się koło Bachusa...

Zobaczyłem nagle jakiegoś olbrzyma z brodą, który zagadał do mnie:

- „idziemy na spacer?”

- przepraszam - odpowiedziałem nieśmiało, ja Pana nie znam

- ale ja Pana znam panie Tadeu - wyciągnął do mnie dłoń wielką jak łopata - Jan Liczyrzepa! Jestem... zresztą różnie mnie nazywają... i Rzepiórem i Rzepoliczem... w niemieckich krainach znany jestem pod nazwiskiem Rübezah!... a Pana nazwisko...?

- ja Róże... jestem... wicz - wymamrotałem wystraszony.

- a! panie Róż... tego owego, co tu robisz w moich stronach?

- jestem poeta i robię wierszyki... Lieder-macher...

(...)

Czas nieustannie płynie, a Duch Gór dalej niepodzielnie trwa, zarówno w świadomości ludzi zamieszkujących te tereny, jak i wielu przyjezdnych.

Wczoraj mówiono, że ktoś widział Go na szlaku prowadzącym z Karpacza na Śnieżkę. Szedł z grupą turystów. Ale czy to na pewno był on? Trudno to potwierdzić, ale i zaprzeczyć temu także nie sposób... ■

Zbigniew Kulik – od 1976 r. kieruje Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu. Autor przewodników i publikacji z dziedziny historii turystyki regionu Sudetów. Autor kilkudziesięciu wystaw fotograficznych prezentowanych w kraju i zagranicą.

Konkursy, Nagrody

XIII Biennale Fotografii Górskiej, Jelenia Góra

Największe uznanie jury, któremu w tym roku przewodniczył prof. Eugeniusz Józefowski, zdobyły prace wrocławskiego fotografa **Czesława Chwiczuka**.

Pierwsza nagroda przypadła w udziale **Markowi Arcimowiczowi**, nagrodzonemu także na poprzednim Biennale. Drugą nagrodę za pracę „Spotkanie z Górą” otrzymała **Teresa Anna Ślusarek**, a dwoma trzecimi nagrodzono **Artura Górę** za zestaw „Dolina Kobiet” oraz wielokrotnego laureata Biennale **Marka Szyryka** za pracę „Samotnia moja miłość”.

Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze gości dwie „górskie” wystawy – oprócz prac laureatów Biennale można oglądać także wystawę poplenerową „Samotnia 2003/4”. W galerii Korytarz JCK swoje prace z cyklu „Z archiwum X” prezentuje laureat I nagrody **Marek Arcimowicz**.

Tradycją stały się już seminaria dla laureatów, jurorów, uczestników wystawy poplenerowej i zaproszonych gości. Tegoroczne odbyło się w Przesiecle w dniach 3-5 września. (J)



Czesław Chwiczuk, zdobywca Grand Prix za całość prac (fot. „Ku Światłu” na IV stronie okładki)

*...praca to moja straszna brzoń,
moja brzoń ostateczna...*

Tak pisał w jednym ze swoich listów Antoni Rząsa, jeden z wybitniejszych rzeźbiarzy polskich XX w. Od 5 września do 11 listopada 2004 r. 32 jego prace prezentowane są we Fontevraud – francuskim opactwie romańskim, przerobionym na centrum sztuki. Wystawie, zorganizowanej w ramach Sezonu Kultury Polskiej we Francji, towarzyszy pięknie wydany album przygotowany przez Galerię Antoniego Rząsy prowadzoną w Zakopanym przez syna artysty – Marcina – i ludzi, których wokół przedsięwzięcia Latarnik skupia pewna wizja fotografii. Konceptcja, liczącego 360 stron, wydawnictwa jest dziełem Juliusza Sokołowskiego, który wraz z Magdą Ciszewską-Rząsą całość zredagował.

Antoni Rząsa urodził się tuż po pierwszej wojnie w ubogiej rodzinie chłopskiej w Futomie, niewielkiej wiosce na Rzeszowszczyźnie. Świat zmienił się tu powoli, życie biegło w rytmie wyznaczonym przez pory roku – pisał Wawrzyniec Brzozowski. Po wojnie trafił do słynnej zakopiańskiej szkoły Kenara, gdzie potem na jego prośbę został nauczycielem. Jeśli już mówić o wpływie miejsca na twórczość, na osobowość człowieka, to nie można nie pamiętać, gdzie urodził się Antek. Na krawędzi, na zbiegu Wschodu i Zachodu, w Futomie, gdzie tradycje sztuki prawosławnej ze sztuką katolicką, gdzie zupełnie nieznane nam ośrodki wpływów oddziaływały w sposób tak wspólny, że dało to w rezultacie potrzebę sztuki bardziej hieratycznej niż ta, która się urodziła w Polsce Centralnej – napisała o miejscu pochodzenia Antoniego Rząsy Barbara Zbrożyna.

Niecodzienny album czyta się i ogląda zarazem z wielką przyjemnością. W tej złożonej w sposób wyszukany księdze, wiele jest przestrzeni, białych niezadrukowanych polaci, a nawet i całych stron. Dużo w niej także pięknych i mądrych słów samego artysty, jak i też słów o twórczości Antoniego Rząsy autorstwa Wacława Osajcy, wspomnianego już Wawrzyńca Brzozowskiego i Mariana Pilota. W tej niezwyklej książce ma swe miejsce również fotografia. Obok wspaniałych zdjęć Haliny Rząsowej, dwie trzecie opaste-



Święta Anna Samotrzecia III, drewno patynowane 1960/1961 fot. Juliusz Sokołowski

go wydawnictwa zajmują reprodukcje 33 rzeźb prezentowanych obecnie na wystawie we Francji. Niektóre z nich Juliusz Sokołowski fotografował w kilku pozycjach. Najczęściej spotykamy dwa, trzy ujęcia tej samej rzeźby. Stanowią one niezwykle wprowadzenie w świat sztuki Antoniego Rząsy. Czarno-białe fotografie ciasno kadrowanych rzeźb stwarzają wrażenie niemal bezpośredniego kontaktu z dziełem, na którym znać każde pociągnięcie siekiery, rzadziej dłuta, którego artysta zbytnio nie cenił. Jak pisze w albumie Wawrzyniec Brzozowski, w rzeźbach Rząsy można odnaleźć romańską, czy wczesnogotycką, surową dostojność, drewniane ciepło ludowych świątków, bolesny, przesadny grymas sztuki ekspresjonistycznej. Jego sztuka nie podlega kryteriom artystycznych mód, istnieje jakby poza czasem i przetrwa długo. Mówił, że rzeźbi właściwie dla siebie, że jest to jego pamiętnik – ale przecież była to również jego modlitwa. Album oglądany raz jeszcze i jeszcze raz. Słowa zanikają w biele kartek, zostają rzeźby i fotografia. (jj)

Antoni Rząsa, Prace. Teksty Wawrzyniec Brzozowski, Wacław Osajca, Marian Pilot. Fotografie rzeźb Juliusz Sokołowski. Inne fotografie Andrzej Atemborski, Halina Rząsowa, Wiktor Skrzynecki, Archiwum Galerii Antoniego Rząsy. Wydawca Fundacja im. Antoniego Rząsy, Portal Internetowy Latarnik. ISBN 83-911462-0-2. Warszawa, 2004 r. Limitowane egzemplarze do nabycia: Galeria Antoniego Rząsy, 34-500 Zakopane, ul. Bogdańskiego 16a, e-mail: rzasa@latarnik.pl

Cienka, kropkowana linia

Emil Mendyk

Za rzeką stały domy w niczym nieróżniące się od tych, które codziennie widywałem w swoim mieście. Ludzi Stamtąd nie widziałem, bo drzewa i krzaki rosnące za płotem skrywały przed oczami sześciolatka sam brzeg nie tak znowu szerokiej rzeki. Ale przypuszczalnie ktoś tam musiał być, skoro w oknach powiewały firanki, a zjeżdżające w dół ulicy samochody co jakiś czas przesuwwały się pod podnoszonym z namaszczeniem szlabanem i wtaczały się ostrożnie na most. Zresztą Stamtąd też przyjeżdżali – najczęściej w takich dziwnych autobusach ze śmiesznie wydłużonym tyłem, jakby jechały na wstecznym biegu. Czasami widziałem ich, jak stali koło kościoła albo szli wzdłuż murów obronnych i najczęściej robili zdjęcia (ale zupełnie inaczej, niż mój wujek, bo nie kazali nikomu ustawiać się w rzędach, tylko od razu: pstryk!); a jak się

dłużej koło nich postawo, to można było dostać gumę do żucia albo jakiegoś cukierka. Nie rozumiałem, dlaczego tak bardzo nie podobało się to mojej starszej siostrze. Przecież nie krzyczeli – jak wszyscy Niemcy w telewizji – „sznela” albo „rals”; dziwiłem się nawet, że nie mają tych złowrogich czapek z trupa czaszką nad daszkiem i że są też Niemcy-kobiety.

Takie było moje pierwsze spotkanie z rzeczywistością granicy. Bariera nie do przebycia dla mnie, dla moich kolegów z podwórka, rodziców... Tylko wujek kiedyś jeździł „do nyski” (po co? Przecież u nas też były nyski...). No tak, ale wujek był bogaty i miał niebieskiego trabanta!

Aż nagle – nowina! Adam jedzie do Grecji! Jego tato był Grekiem, a w domu wisiał na ścianie taki dywan z wyhaftowanymi tancerzami o ciemnej skórze; czasami nawet liczył po

grecku, żeby się przed nami popisać: ena, dia, tria... Choć jak w „zerówce” pokolorował na obrazku z grecką świątynią leżące wokół niej połamane kolumny na żółto, to nie chciałem uwierzyć. Skoro jednak Adama tato tak mówił... I właśnie wtedy, gdy Nasi w Hiszpanii roznieśli Peru 5:1 i Belgię 3:0, a brat zabrał kolorowe pudełko od piłkarzyków, żeby w tajemnicy schować w nim plik poplamionych farbą drukarską gazet (zupełnie innych, niż te, które co piątek czekały na mojego tatę w kiosku; mniejszych i pisanych chyba



na maszynie), wybucha wiadomość – Adam jedzie do Grecji. Nie sam, oczywiście. Wyjeżdżają całą rodziną. Wsiadają do pociągu do Warszawy, Adama babcia płacze, na peronie wszyscy koledzy i sąsiedzi. A następnego dnia w atlasie śledzę dwugodzinny lot z Warszawy do Sofii (Jak to jest w samolocie? Czy z góry widać te czerwone, przerywane linie: granice?), a potem nocny przejazd pociągiem do Aten.

Po miesiącu dostaję widokówkę z jakimś portem, białymi domami i niewiarygodnie niebieskim morzem. „Emil, tu jest bardzo gorąco i są takie supermarkiety, gdzie można kupić cukry, czekoladę, kisiele i pomarańcze”. Pomarańcze? W sierpniu? I nie trzeba czekać aż na Wigilię?

Bariery granic wciąż rosły i przesłaniały sobą świat. Ten na moich ukochanych mapach i ten za oknem, 15 kilometrów stąd, za widocznymi w pogodne dni łagodnymi górami. Z pamięci potrafiłem wyrysować konturówki wszystkich kontynentów z zarysem tnących je zygzakowato granic. Nie liczyły się rzeki, miasta, lasy, góry. Z jakim uporem graliśmy „w państwa”, gdzie nikt nie zajmował się robieniem porządku czy jakimkolwiek rozwojem na własnym terytorium, ale zmagał się o jak największy zasięg granic. Najstarszy brat, choć zajmował się meteorologią na poznańskim lotnisku, natychmiast zyskał status obrońcy granic. To właśnie granice stanowiły szkielet, który podtrzymywał Europę, Afrykę, obie Ameryki. Gdyby nie granice, lodowce obsunęłyby się aż do Morza Śródziemnego, a piaski Sahary niczym w klepsydrze przesypałyby się na Kalahari. I bardzo dobrze, że mieliśmy tak dużo granic, skoro w telewizji każdego wieczoru widziałem zjazdy niemieckich ziomkostw, strajkujących górników z północnej Anglii i dyrygowane przez kowboja Reagana transporty

wycelowanych w nas Cruise'ów i Pershingów. I leż to razy śniły mi się atomowe grzyby i ludzie w maskach gazowych...

I nagle w telewizyjne obrazy *The day after* i redaktora Barańskiego wdarło się *Blżej świata*. W niedzielne popołudnia wyludniały się ulice, by po chwili rozbrzmiewać echami sygnałów FilmNet-u czy RTL-u. Obrazki z innego świata. Bez kolejek po przydziałową kielbasę. Bez ciągłych posiedzeń plenarnych. Za to z naturalnym uśmiechem. Z dziesiątkami nieznanymi barw. No i oczywiście *Männer-Magazin* tuż przed Benny Hillem.

W którymś z programów pojawia się informacja, że mieszkańcy EWG nie potrzebują paszportów, żeby pojechać na wino do Włoch albo do którejś z londyńskich galerii. Tak po prostu, „wsiaść do pociągu”. Ponoć Tam przejazd przez granice daje się zauważyć dopiero, gdy zmieniają się szyldy. I u nas w czerwcu zaczęły zmieniać się szyldy. Najpierw ostrożnie zniknęły tylko te najbardziej czerwone, a z końcem grudnia wszystkim orłom jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrosły korony. Zniknęła „Ludowa” i psor od historii zaczął stawiać mi lepsze oceny. Na geografii wciąż jednak najważniejsze pozostawały – granice, konturówki...

Cienka, kropkowana linia



Granice dzieliły także góry. Wciąż jeszcze źródła Łaby można było osiągnąć tylko zgłodniałym wzrokiem spod Łabskiego Szczytu. Zbyt długie ich wypatrywanie groziło jednak pojawieniem się WOP-isty wyciągającego swój wymięty notes, do którego przepisywał całą legitymację szkolną, może z wyjątkiem pieczątki. To wielkie narodowe dyktando trafiało się nawet na Agra-
ce pod Stogiem Izerskim albo na stacji w Kłodzku, gdy nocny pociąg z Krakowa miał 2 godziny opóźnienia. Czerwone dachy Malej Upy wydawały się bardziej odległe, niż doki Gdańska i Kolumna Zygmunta – w końcu tam, w dole czy po drugiej stronie potoku, to już Zagranica! Przedarta na pół Śnieżka, której niewidocznej strony – niczym tej wiecznie ciemnej twarzy Księżycy – stale broniło przynajmniej dwóch „zielonych”. A jakież dreszcz biegł po obciążonym plecakiem grzbiecie, gdy kierowany groźnym spojrzeniem spod zielonego otoka wchodziłeś, bracie, na czerwono znaczoną, eksterytorialną ścieżkę z Okraju...

To i tak było niczym wobec „wyprawy na ruską granicę”, gdy dla niepoznaki rozdzielivszy się na 2 grupyk szliśmy podsuwalską polną drogą na północ. Zaciągający slidzikovatto chłop uprzedzał, że tam nic nie ma, ale to Nic pachniało już mgłą Leningradu, stepami Kazachstanu, mrozem tundry i nawoływaniem portowców z Władywostoku. Wyraźnie zmęczony strzeżeniem granicy Sojuza słup wśród metrowej wysokości chaszczy rzucił nas w ciągu sekundy na sam środek Placu Czerwonego, choć za zakrętem drogi widać było dachy Wiżajn. Drżącą ręką z trudem wcisnęła spust dyżurnej Smieny i w nogi, nim dosięgną nas czyhające na Uralu SS-20.

Jednak chyba najbardziej odczułem nienaturalność i paradoksalność granic w czasie wyprawy do Pragi. Dziś, gdy każda nieomal szkolna wycieczka przyjeżdżająca w Karkonosze, na jeden dzień, ot tak po prostu, jedzie do Miasta Stu Wież, tamte przygotowania, zabiegi o otrzymanie potwierdzonego konsularnie zaproszenia, wyrabianie książeczki walutowej i nocna podróż pociągiem przez Wrocław(!),

brzmiały jak opowieść o argonautach. Trzy dni między Vyšehradem a Holešovicami, kilka parok v rohliku i plik zużytych jizdenek w kieszeni i w drogę z powrotem. Podrzewiały vlak dotarł do Černousów jakby z przestrachem, by nie zatrzymać się kilkaset metrów dalej, gdzie kończył się świat i z krawędzi granicy – niczym badacz ziemi na średniowiecznej rycinie – można było runąć w otchłań, w której tylko muzyka sfer. Droga vedle rýbnika wiodła skrajem pola, na którego bruzdach wyrastały w regularnych odstępach pomalowane na białą kamienie z czerwonym szczytem. Niewidoczna linia dzieliła na dwa odrębne światy pyliste pole, mętny strumyk, jeszcze nie do końca wyschnięty las i wreszcie falującą łąkę, którą każdego dnia ryły nieświadome doniosłości miejsca dziki to z jednej, to z drugiej strony. Równie wolny był wiatr, deszcz i myśl, która nie mogła odseparować od siebie tych przedartych stron tej samej rzeczywistości. Rzeczywistości zarządzanej z przerdzewiającej budki przez dwóch mundurowych, znudzonych swą służbą w jakiś tam Habarticach (to nie to, co Cieszyn albo Nachod). Wyraźnie przeciągane wertowanie granatowej książeczki, seria dodatkowych pytań, które i tak niczego do sprawy nie wносиły, a miały tylko ustawić właściwą hierarchię: „od pytania to jesteśmy tutaj my”. Po chwili to samo na drugim brzegu rachitycznego potoku – żywej kpiny z hydrologii. Granica – na siłę podtrzymywana definicją i tak doskonale znanego porządku, który niczego nie poprawiał, tylko miał dowieść swojej własnej konieczności i wyższości nad wszystkim, nie wyłączając zdrowego rozsądku. Przerażający (czy też – mający przerazić) kolos na glinianych nogach. Nieudolna próba krojenia tortu, który mimo różnych talerzy, pozostaje tym samym tortem.

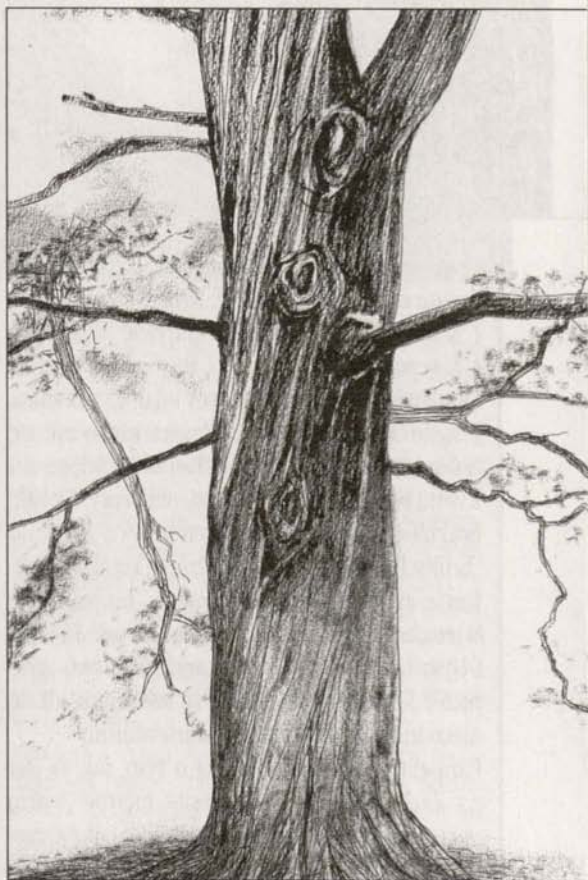
I nagle: inny język, inne napisy, podchmielony facet na ławce, pokasłujący maluch w miejsce wysłużonych škodovek. Jesteśmy u siebie. „U siebie” raz zastane, poznane już na wylot i trudno było sobie wyobrazić jakiś inny świat i inną rzeczywistość. Choć to „u siebie” niewiele różni się od tamtego za Frydlandem, w Atenach czy w każ-

dym innym miejscu świata; wszędzie, gdzie są ludzie mający swoje marzenia, zamiary, miłości, przyjaźnie. Mimo istnienia wielomilionowych „kojców” z taką lubością pielęgnowanych przez polityków i mundurowych, więcej ludzi łączy, niż dzieli, choć brzmi to jak wyświechtany slogan.

Z każdym rokiem mogliśmy doświadczać tego coraz bardziej i coraz łatwiej. Okazało się, że paszporty można mieć w domu, a nie na najbliższej komendzie; że po zniesieniu obowiązku wizowego przez większość europejskich krajów, z Polski nie wyjechała natychmiast połowa rodaków; że przewóz przez granicę kilograma bananów czy pary butów nie rozłożył na łopatki gospodarki sąsiedniej krainy (a nawet wręcz przeciwnie); że przejście przez Smrek czy Równię pod Śnieżką jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a wielu osobom pozwoliło poznać piękną terra dotąd *incognita*... Granice przepisów, zwyczajów i tablic rejestracyjnych coraz rzadziej stanowiły granice poznania. Okazało się, że wyjazd na piwo do Pragi czy do drezdeńskiej Galerie der Alten Meister jest w zasięgu ręki równie dobrze, jak operowe widowisko we Wrocławiu. Coraz rzadziej kryliśmy się Tam ze swoim językiem, by nie być z gruntu uznanym za poszukiwacza pracy lub niedomkniętych samochodów; wciąż jednak zdradzały nas tureckie swetry, wasy, mokasyny z dzynzelkami i skórzane „pedałówki” na dokumenty (im grubsze, tym lepsze). Chorwacja, Tunezja, Hurghada, a wreszcie także Paryż, Londyn, rowerowe ścieżki Bornholmu i alpejskie stoki zaczęły rozbrzmiewać językiem znad Wisły i Odry. Laury dla najpiękniejszych, najmądrzejszych i najsztubniejszych Ziemi dla Anety Kręglińskiej („czy mnie jeszcze pamiętasz?”), Wisławy Szymborskiej, Andrzeja Wajdy i Leszka Kołakowskiego, czy ciągła obecność Jana Pawła II i Lecha Wałęsy na międzynarodowej scenie dowiodły, że Polacy nie gęsi, a i sroce spod ogona nie wypadli. Ale wciąż błąkały się upiory dziurawych dróg, zabłoconych podwórek, podchmielonych cwaniaczków, Wielkich Braci z lewa i z prawa na Środkowoeuropejskim Niżu, cyrylicznych mafiosów i brunatnokrwistych handlarzy nieruchomości.

I to właśnie te upiory sprawiają nadal, że mimo znikania granic na zewnątrz, coraz bardziej dają o sobie znać granice w nas. Skrywane obawy, kompleksy, wszelkiej maści najdosłowniejsze strachy na Lachy powodują, że chcemy stanąć z boku, uznać, że „mnie to nie dotyczy”. Byłoby tylko polska wieś spokojna! Albo jawić się ostoją wartości, którym na co dzień nie za wiele zostawiamy miejsca. Pojawia się obcość wobec samego siebie, chęć ucieczki. „Odchodzisz w swoją stronę, bo tak cię wychowano”, jak śpiewał Muniek Staszczuk w swoim postpunkowym traktacie o polskim wychowaniu. Rozpływa się energia, euforia roku 1989 roztopiła się w „wojnie na górze”, a nadziei 1 maja 2004 starczyło tylko na kilka tygodni. A może miejsce tej nadziei zajęło zaskoczenie, że stoję twarzą w twarz z człowiekiem zza góry albo zza rzeki, do którego zawsze – i z wzajemnością – stałem plecami? Że wiem o nim tyle,

Cienka, kropkowana linia





ile on o mnie, czyli niewiele? Że izerski koniec świata może zakwitnąć jak Ardeny? Że Karpacz i Szklarska nie musi się martwić o Szczyrk i Zakopane, ale o Špindla i Harrachov? Że nad Sieniawką będą się fachowcy od dróg z Berlina, Pragi i Warszawy? Że trzeba zacząć uczyć się holenderskiego, bo na Grodzkiej coraz więcej aut z żółtą rejestracją? Że bardziej, niż pracy dla rąk, brakuje do pracy głów? Że „warszawka” jedzie do „brukselki”? Że w grzęznącym w recesji Frankfurcie zachodzą w głowę, patrząc na polnische Wirtschaft i jej kilkuprocentowy wzrost? Że Izera i Nysa łagodnie wyglądza kanciaste słowo „granic”? Może to zaskoczenie, że świat zmienił się nieco inaczej, niż się tego spodziewaliśmy? Pamiętam dawne opowieści o tym, jak to jest na Zachodzie. Co kilkadziesiąt metrów widzę „supermarkiety, gdzie można kupić cukry, czekoladę, kisiele i pomarańcze”. Sam prowadzę

grupy, które robią zdjęcia (ale inne, niż te mojego wujka, który od niedawna jeździ nowym fordem fusion TDI – wciąż jednak niebieskim) i nie pokrzykują „sznela” ani „raś”. Biedny, schorowany Ronald spoczął w łonie Matki Ziemi, a człowiek mieszkający w jego dawnym, białym domu zowie się naszym przyjacielem, chyba dlatego, że wraz z nim wpłataliśmy się w największą kabałę przełomu tysiącleci. Katowice i Zabrze pełne obrazów, jakie przed dwudziestu laty widziało Leeds i Sheffield. Czy to już Zachód?

Niedawny powrót z Ukrainy: nocny przejazd przez rozświetlone ulice śpiącego Lublina, wielkie reklamy, stojące obok samochody z fabryk Wolfsburga, Stuttgartu, Turynu albo i Gliwic. Wracający do akademików roześmiani studenci w ciuchach francuskich projektantów mód. Ponadrywane plakaty eurokandydatów. Świadomość rangi polskiego dowodu osobistego i kilku banknotów z Kazimierzem Wielkim („na Boga, we Lwowie te trzy stowy to majątek!”). To dokąd w tym roku na wakacje? Portugalia? Marek do Rzymu zaprasza... Leniwie przymykające się oczy niepokoi tylko obraz nowo wybudowanych strażnic od Ustrzyk Dolnych po Sokółkę i lotne kontrole na bieszczadzskich drogach. Oto Limes Roku Pańskiego 2004, ta dziwna, kropkowana linia na mapie Kontynentu. ■

Emil Mendyk (ur. 1972) – tłumacz, przewodnik sudecki i wrocławski, filozof (ma na to papiery); niekiedy pisze, czyta – stale.

Krzysztof Figielski – rysownik, ilustrator, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

SPACER PO LESIE

*Spacer po lesie, może nie wędrowka,
ale krok i krok, wdech i wydech.
Przecież mogę przystanąć i rysować.
Nikt nie patrzy.*

Krzysztof Figielski

Coraz więcej polskich pielęgniarek wyjeżdża na Zachód do pracy, bo tam zarabiają od czterech do dziewięciu razy więcej niż w Polsce. Inni Polacy natomiast – z marginalnym udziałem tych pielęgniarek, które z nie zawsze zrozumiałych powodów na razie nie wyjeżdżają – sprowadzają z Zachodu używane auta, bo tam można je kupić kilka razy taniej niż w krajowych komisach.

W obydwóch sprawach odpowiednie urzędy wydają komunikaty pełne głębokiego niepokoju, a posłuszna prasa, radio i telewizja biją na alarm. Podobno w owładniętym błędym strachem Ministerstwie Zdrowia powstał specjalny zespół do zablokowania wyjazdów pielęgniarek. Na pewno w Ministerstwie Finansów trwają intensywne prace koncepcyjne nad sposobami skutecznego przeciwdziałania sprowadzaniu do Polski używanych aut i surowego ukarania przestępców, którzy kupują sobie w Niemczech golfy czy passaty.

Ekspertcy obydwóch ministerstw znaleźli jeden sposób likwidacji tych zjawisk. Sposób, należy dodać, bardzo skuteczny, który natychmiast zapobiegłby wyjazdom pielęgniarek i ukrócił sprowadzanie aut. Trzeba byłoby tylko odebrać paszporty pielęgniarkom, żeby nie wyjeżdżały za pracę, oraz wszystkim innym obywatelom, żeby nie jechali po auta. Sposób jest wypróbowany akurat przez tych, którzy dziś Polską rządzą, ale sytuacja polityczna nie sprzyja użyciu go, bo kraje, w których polskie pielęgniarki znajdują pracę, a inni rodacy tanie używane auta, mogłyby zastosować sankcje bardzo nieprzyjemne dla polityków, urzędników oraz ich krewnych i znajomych żyjących z dojenia budżetu UE.

W tej sytuacji władze ograniczają się do straszenia rodaków kataklizmami. Pierwszy kataklizm niebawem się zacznie. Najpierw stare samochody spowodują gwałtowny wzrost liczby wypadków na drogach, twierdzą władze, następnie zniszczą nam dokładnie środowisko, bo trzeba będzie stare graty utylizować.

Ludzie, którzy próbują myśleć samodzielnie, zwracają wprawdzie uwagę, że głównymi przyczynami wypadków w Polsce jest nadmierna prędkość i opilstwo, a zły stan techniczny aut nie powoduje nawet 1 procenta katastrof, ale władze oraz bijący na alarm dziennikarze udają, że tego nie słyszą. Ludzie zdolni do myślenia przewidują też, że nikt starych aut u nas utylizować nie będzie, bo za jakieś pięć lat wyjadą od nas na Wschód. Na Białorusi, Ukrainie i w Rosji ludzie są jeszcze ubożsi niż w Polsce i stać ich na samochody jeszcze starsze od tych, które my teraz sprowadzamy. Na to władze nasze odpowiadają jednak z triumfem, że nasze państwo wprowadzi przepisy zakazujące wywożenia starych aut i kataklizm jednak nastąpi.

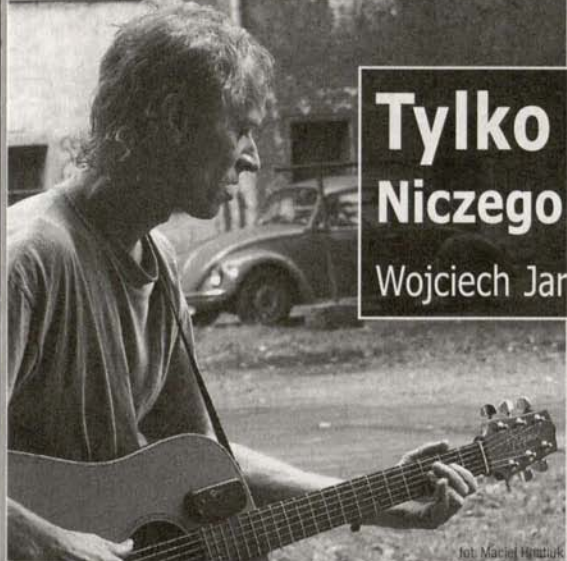
Drugi kataklizm, twierdzą władze, też już się zaczął, a szczyt osiągnie wtedy, kiedy ostatnie pielęgniarki wyjadą z Polski. Całe leczenie wówczas się załamie. Rząd się wprawdzie jakoś wyleczy, ale pozostali rodacy zaczną masowo umierać z braku fachowej opieki w szpitalach oraz innych placówkach służby zdrowia.

Ludzie – mimo wszystko praktykujący w Polsce myślenie – mówią, że kataklizm nie nastąpi, bo na miejsce opuszczone przez nasze pielęgniarki chętnie przyjadą ich koleżanki z Rosji, Białorusi i Ukrainy, dla których polskie pensje są kilka razy wyższe od rodzimych. Władza ma jednak na to odpowiedź: nie przyjadą, mówi, bo opracowaliśmy przepisy zakazujące zatrudniania w Polsce pielęgniarek ze Wschodu i kataklizm jednak będzie!



I wyjazdy pielęgniarek, i masowy import starych aut to zjawiska, które mogłyby być dla Polski korzystne. Wyjazdy pielęgniarek uporządkowałyby rynek pracy, podniosły skandalicznie niskie płace średniego personelu medycznego, zasiliły nasz kraj pielęgniarkami z Białorusi, Ukrainy i Rosji nie gorzej kwalifikowanymi od naszych. Masowy import aut zmotoryzowałby tych Polaków, których na samochodach wcześniej nie było stać, wyeliminowałby z jezdni małe fiaty, które są śmiertelnymi pułapkami i zawałdogrami, dałby pracę setkom tysięcy mechaników samochodowych. Oba zjawiska mogłyby być korzystne, ale wszystko wskazuje na to, że jednak nie będą. Władze dołożą wszelkich starań, żeby zablokować wyjazdy pielęgniarek i dotkliwie ukarać importerów aut. Wprowadzą takie przepisy, że korzyści znikną, a pojawią się straty.

Ministrów i innych funkcjonariuszy państwa w wyjazdach pielęgniarek i masowym imporcie aut doprowadza do furii to, że obydwa zjawiska są wynikiem inicjatywy obywateli. A tego właśnie, że obywatele robią coś sami, obecne władze III RP wciąż nie mogą znieść. ■



Tylko gitara i głos Niczego innego nie będę robił

Wojciech Jarociński o swojej najnowszej płycie

Gra z własnym zespołem SAD i „Eldorado”

Ja już ten projekt częściowo zrealizowałem – może nie do końca, ale zrealizowałem, choćby na „Eldorado”, są elementy combo, chórki. To jest autorska płyta, choć pięć utworów ma nie moje teksty. Ja ją już przeżyłem, rozdałem, może jeszcze nie pogrzebałem, ale to zamknięty temat.

„Eldorado” jest praktycznie nie do sprzedaży, rozdaje ją. Nowa płyta, solowa, ma być do sprzedaży.

Chcę nagrać płytę, będącą odzwierciedleniem moich koncertów. Na razie nie chcę grać z własną kapelą, choćby ze względów organizacyjno-ekonomicznych. Z Bukowiną gram dużo koncertów i nie ma czasu na rozwijanie zespołu. Właściwie nową płytę już mam. Jeszcze ze dwie, trzy nowe piosenki.

Tylko ja i gitara. To, co mogę sam zagrać w każdych okolicznościach. Chcę zagrać ze cztery nowe utwory i powtórzyć te, które jeszcze chcę grać. Podoba mi się ten pomysł. Z samą gitarą. To jest wyzwanie. Można dobrze wyartykułować gitarę, bez basów, klawiszów, chórków, które często „chowają” dźwięk. Tylko gitara i głos. Bardzo mnie interesuje artykulacja – to, co wychodzi spod palca. Ciekawy dźwięk, żeby było słychać wibrato – to wymaga od gitarzysty grania zróżnicowanego dynamicznie. Gitara przepięknie brzmi w piano. Krystaliczny dźwięk w połączeniu z dotykiem dłoni. Lewa na gryfie, prawa trącająca struny. Od piana do forte można zrobić orkiestrę.

Chcę po prostu wejść do studia i zagrać. Nie do metronomu w studio, tego nie robię. To nieludzkie. Z metronomem należy ćwiczyć, żeby w sobie wyrównać tempo, ale granie do „klika” w studio powoduje, że skupiam się na równej grze. Ginie artykulacja,

dynamika, cały duch. A kiedy nie gram do wokalów – śpiewanie jest integralne z graniem, emocje są jednoczesne – to już nie jest koncert, a ja chcę to właśnie nagrać jak koncert, bez poprawek.

O słowach i muzyce

Nie zamierzam już raczej pisać muzyki do cudzych tekstów, choć parę rzeczy, które napisałem, podoba mi się. Ale wolę pisać do swoich słów. Nie ma na to patentu, bywa różnie, czasem zaczyna się pomysł muzyczny, później pojawia się „rybka” bez specjalnego sensu, potem pomysł na tekst, prowokacja. Piszę coś czasem, co nie jest wierszem, nie ma wewnętrznego pulsu, ale równocześnie myślę już o muzyce do tego. Zaczyna się wzajemne prowokowanie muzyki i wiersza, moment stawiania się prozy wierszem. Powstaje konstrukcja, z motywami, porządkiem. Taka konstrukcja muzyczna wymusza też frazę wiersza, to nie musi być bardzo regularne, ale rytm wewnętrzny musi być. One mają oddziaływać, powodować rezonans u słuchającego.

O Bukowinie

Bukowina to tak naprawdę Wojciech Bellon i jego piosenki, może trochę moich starszych. Wszelkie próby wtłaczania w Bukowinę nowych rzeczy nie wychodziły za dobrze. Bukowina i piosenki Bellona to gotowe dzieło. Jesteśmy tak trochę medium Wojtka. Bukowina to sprawa zupełnie osobna i nie chcę do tego niczego mieszać. Był SAD, była kapela z „Eldorado”, a teraz już czas na własny, solowy projekt. Bo kiedy chwyciło się raz gitarę w łapę i się śpiewa, i czuje, że ma się coś do powiedzenia, to się to robi do końca. Niczego innego w życiu robić nie będę. Jeszcze się wspinam, ale tym się już dzielić z innymi ciężko. To tylko mój świat. Tylko moje przeżycia. Wierszem i muzyką mogę się podzielić, to najlepsza forma kontaktu. Poszukiwanie drugiego człowieka.

Wystuchał Jacek Jasko
Jelenia Góra, czerwiec/lipiec 2004 r.

Wojciech Jarociński – ur. w 1950 r. Pieśniarz, poeta, wspinacz. Współzałożyciel Wolnej Grupy Bukowina. Mieszka w Jeleniej Górze.



fot. Jacek Jasko

Ludzie są ciekawi, ale trochę onieśmieleni. Mimo nieznamości języka potrafiliśmy się porozumieć – Jean-Louis Hess



Fotografia z albumu

Jean-Louis Hess

Przed rokiem przyjechali z wystawą na Dolny Śląsk – do Wrocławia, Legnicy i Karpacza, a także do Jeleniej Góry. Czterech fotografów z Alzacji, tworzących grupę „Chambre a Part”, pokazało ponad tysiąc „Portretów Alzatzaków”, wykonanych w latach 1995-2000. Pascal Bastien, Jean-Marc Biry, Michel Grini, Jean-Louis Hess i Philippe Paret postanowili zrealizować podobny projekt na Śląsku – przynajmniej tam, gdzie gościła ich wystawa. „Portrety Polaków. Oblicza Dolnego Śląska” pokazywane są właśnie w Strasburgu, a w przyszłym roku zobaczymy je prawdopodobnie w Jeleniej

Górze. We Francji właśnie ukazał się album towarzyszący „Portretom Dolnoślązaków”. Jak pisze szef grupy, Jean-Marc Biry, w trakcie tygodnia niezwykle intensywnej pracy twórczej fotografowie wykonali ponad 600 portretów mieszkańców Dolnego Śląska. Każda sfotografowana osoba otrzymała odbitkę własnego portretu, w zamian za zgodę na wykorzystanie jej zdjęcia na wystawie i do publikacji.

Przed rokiem, 20 maja, pierwszy sfotografował się w Jeleniej Górze Michał Nowak. Podszedł zaciekawiony rozstawionym tłem, statywami i profesjonalnymi kamerami. Z kolegami z liceum plastycznego w Cieplicach pasjonuje się fotografią czarno-białą. Na odchodnym upewniał się, czy na pewno otrzyma pocztą odbitkę. Natomiast Józef Świercz do Jeleniej Góry

przyjechał specjalnie ze Świerawy. O tym, że zagraniczni fotografowie będą robili portrety, przeczytał w nieistniejącym już „Słowie Polskim” i usłyszał w radiu. – Jak człowiek sam nie może pojechać w świat, to niech portret pojedzie. Sam też lubię oglądać fotografie nieznanymi ludźmi. Józef Świercz do zdjęcia przywiózł całą rodzinę.

Francuski dziennikarz Jean-Marie Haefele tak zakończył swój tekst o prezentowanej właśnie w Strasburgu wystawie: Jesteśmy w świecie marzeń. Ale czy to istotne! Ważne jest, że tych kilka postaci, na które spojrzeliśmy na wrocławskim rynku czy przed kościołem Wang w Karpaczu, uświadomiło nam, że naród tworzą ludzie, którzy są niepowtarzalni. I że wszyscy spotykają się w pewnym wspólnym punkcie, którego granice wyznacza nostalgia za przeszłością, nieraz ubarwioną, i nieodparta pragnienie poznania przyszłości. (j)



Portrety Polaków. Oblicza Dolnego Śląska. Wystawa i album.

Zdjęcia: Chambre a Part – Pascal Bastien, Jean-Marc Biry, Michel Grini, Jean-Louis Hess, Philippe Paret. 2004 r.

Co nas kształtuje, co potrafimy stworzyć, co pozostaje po dawnych cywilizacjach, co trwa w krajobrazie i w nas, wiecznych wędrowcach i poszukiwaczach? To pierwsze pytania nasuwające się przy kontakcie z pracami prezentowanymi na wystawie „Cywilizacje”, którą po Wrocławiu i Jeleniej Górze, będzie można od stycznia przyszłego roku oglądać na Zamku Książ w Wałbrzychu.

Urodzony w rodzinie greckich uchodźców w Szczecinie Kostas Kiritsis, po studiach na Politechnice Szczecińskiej ruszył w świat. Jeszcze w Polsce zaczynał od klasycznej czarno-białej fotografii. Podróżując w latach 90. po Azji, zarabiał pieniądze na studia w nowojorskiej School of Visual Art. Jak sam twierdzi, to właśnie w Nowym Jorku w połowie lat 90. odszedł od tradycyjnie pojmowanej fotografii. – *Pracuję intuicyjnie i cały czas jestem w drodze. Od kilku lat między Warszawą i Nowym Jorkiem, gdzie mam stały adres. Tworząc swoje prace, często korzystam z przypadkowych materiałów, cudzych pracowni. Wielokrotnie musiałem składać i ciąć, wywołując po kawałku naświetlane płachty fotograficznego papieru. Ten sposób pracy, narzucił więc pewną konwencję, swoisty styl* – mówił na spotkaniu w jeleniogórskim BWA Kostas Kiritsis.

Przypominające często podniszczone dokumenty prace Kiritsisa przyciągają widza swą dostępnością, łatwością kontaktu, nie odgradzając go dostojną oprawą ram, charakterystyczną dla „dzieła sztuki”. Nierzadko pozaginane, wyblakłe czy zagniecione fotografie i książki tworzone przez artystę każdy z oglądających traktuje od razu jako swój „własny” dziennik-pamiętnik. Niknące w różnowoszarą mgłę, powtarzające się motywy słomy zwijanej na polach w bale, nostalgiczny krajobraz z bezdroży Mongolii, czy ginące w dali mosty i moła, natychmiast przywołują wspomnienia odbytych i nieodbytych przez nas podróży. Zasygnalizowanych opowieści czy snów niedoświadczonych nigdy do końca.

Choć w wielu pracach Kostasa Kiritsisa znać ślad konceptualnych odkryć, ich obecność nie razi swą nachalnością, ale podkreśla i potęguje zamysł twórcy. Pozorna pobieżność obserwacji, wynika-



fol. Jacek Jaśko

jąca z „odręcznej” formy zapisu, czynionego jakby pośpiesznie, w drodze, pozwala na swobodne skojarzenia z czymś, co pozostało po dawnych twórcach, oglądanych przez nas mostów, niknących wiaduktów, rozmytych w dali torów. Symbolem najczęściej używanym przez Kiritsisa jest księga. Kilkadziesiąt zamalowanych na białą egzemplarzy poukladał artysta pod ścianami w stosy. Część fotografii prezentuje także w formie książ, w których biała farba zamazuje tło, by wyostrzyć przekaz głównego motywu.

Swego czasu Kiritsis napotkał w nowojorskim metrze napis, który sfotografował: *A Site of a Future Artwork (Miejsce przyszłego dzieła sztuki)*. Sygnował nim później swoje wielkie cykle z wizerunkiem bezludnych plaży i bezkresnych pól.



Pytanie o miejsce przyszłego dzieła sztuki, to pytanie o przyszłość całej cywilizacji; o wartości, według których przekształcana jest przez ludzi materialna rzeczywistość, stająca się odbiciem wewnętrznej rzeczywistości duchowej i zarazem zwrócić tę rzeczywistość formująca – napisała w katalogu wystawy „Cywilizacje” jej kurator Elżbieta Łubowicz. (jj)

Kostas Kiritsis, „Cywilizacje”

Galeria Sztuki BWA Jelenia Góra, sierpień 2004 r.

„Śląsk – miesięcznik ilustrowany”, Nr 8/9, 1947 r.

(...) jednym słowem [Rübezahl] tak „pasuje” do pozbawionych poczucia humoru mitów germańskich, jak garbaty do ściany. Bóstwa słowiańskie tym się różniły od germańskich czy greckich, że nie było wśród nich hierarchii. (...) Swanewit należał do ogólnie otaczanych kultem w Słowiańszczyźnie. Atrybutem jego był grzmot, poświęconym zwierzęciem biały koń, który służył do wózb. (...) W micie o Rübezahlu spotykamy wszystkie te charakterystyczne rysy Swatewita; doszukamy się tam gromów, zsyłania deszczu i śniegów, wędrowek w postaci biednego staruszka, sowy, koguta szlachetnego, czasem białego konia. (...) Inna właściwość słowiańskiego bóstwa – dobroć – charakteryzuje i tego ducha Karkonoszy, a odróżnia od bóstw germańskich, nie zniżających się do biednych i uciśnionych. (...) W czasach, gdy germanizowano wszystko, i jemu dostała się „folkslista” – z całym spokojem można go jednak zweryfikować.

Rübezahl, zgermanizowany Swanewit,
Roman Tomczyk

Józef Sykulski, 366 wiadomości o Dolnym Śląsku.
Kalendarz i notatnik na rok 1948, Jelenia Góra 1947
(wiadomość pod datą 10.08.)

Perłony wytwarzają tylko dwa państwa: Ameryka Północna i Anglia, w Polsce zaś jedynie Jelenia Góra. Amerykański nylon nazywa się w Polsce steelon i wytwarza go Dolnośląska Fabryka Włókien Sztucznych. Fabrykuje ona tylko nić, a fabrykacja pończoch odbywa się w Łodzi.

Podstawowymi składnikami produkcji steelonu są węgiel, woda i powietrze. Z nich to, po długich procesach chemicznych, powstaje nić steelonowa, posiadająca „grubość” 0,06 mm. Z niewielkiej szpuleczki tych nici, ważącej 300 gramów, można wykonać 20 par pończoch, nie puszczających oczek, 15 razy mocniejszych od normalnych i ważących zaledwie 15 gramów.

Obecnie fabryka w Jeleniej Górze wytwarza dziennie materiał na około 700 par pończoch, a w końcu 1948 r. będzie go wytwarzała na 5000 par.

A więc dopiero w 1949 perłony będą tanie...

„Pionier, dziennik dolno-śląski”, Nr 49, 23.10.1945

JELEŃ GÓRA – Niski stan uświadamienia społeczeństwa co do katastrofalnych skutków chorób wenerycznych i ich epidemicznego charakteru – skłonił Urząd Informacji i Propagandy do urządzenia odczytu na ten temat.

Odczyt dr. Jerzego Kolankowskiego, ordynatora Szpitala Miejskiego w Cieplicach, pt. „Tylko dla dorosłych”, urządzony w sobotę i niedzielę w Jeleniej Górze był wyjaśnieniem istoty chorób wenerycznych, ich znaczenia społecznego oraz sposobu ich zwalczania.

Jelenia Góra, dnia 7 listopada 1945 r., Okólnik

Dyrekcja Teatru Miejskiego w Jeleniej Górze podaje do wiadomości, że z dniem dzisiejszym nie wydaje się żadnych zaliczek. Zwracanie się z prośbą o zaliczkę jest stratą czasu dla zwracającego się i jeszcze większą dla odmawiającego. Termin wypłaty honoracji za wyjazd do Wałbrzycha będzie ogłoszony. [podpis] J. Walden

„Rolnik dolnośląski”, 1 listopada 1945 r.

Odezwa Polskiego Monopolu Spirytusowego:

„Rynek zalany jest spirytusem i wódką nielegalnego pochodzenia, zarówno z gorzelni, jak również z tak zwanych bimbrówni, kosztem zbytu wódki monopolowej, który jest źródłem dochodu państwa. Ponieważ potrzeba go dużo, musimy wyteńczyć wszystkie siły, aby produkować go jak najwięcej. Kierownik gorzelni winien chronić wyprodukowany spirytus jako dobro państwowe przed wyciągającymi się po niego niepowołanymi rękami.”

Do druku podała Małgorzata Bakalarz



Pozdrowienia dla czytelników
od Aleksandra Lwowa,
wrocławianina, wspinacza
i redaktora czasopisma
Góry i Alpinizm

2 km trudności (fix ropes) zrobione,
2 km łatwego terenu do szczytu
„utonęło” w deszczu.
15 dni złej pogody na 25 w bazie.

Pozdrowienia dla czytelników
„Karkonoszy”



Wanda Bibrowicz żyła w latach 1878-1954. Urodziła się w Grodzisku Wlkp. i tam ukończyła Gimnazjum. Studiowała w Królewskiej Akademii Sztuki i Rzemiosła Artystycznego we Wrocławiu.

W 1904 r. w macierzystej uczelni objęła kierownictwo powstającej pracowni tkaniny artystycznej na zlecenie ówczesnego rektora Akademii Hansa Poelziga.

W latach 1911-1919 mieszkała w Szklarskiej Porębie, gdzie zorganizowała Śląskie Warsztaty Tkactwa Artystycznego i Galerię Rękodzieła Artystycznego. W Szklarskiej Porębie zrealizowała dzieło życia – cykl dziewięciu gobelinów, które zostały zamówione do sali posiedzeń ratusza w Ratzeburgu. Gobeliny przetrwały do dziś. W swoim dorobku artystka miała



Wanda Bibrowicz w pracowni w Szklarskiej Porębie

Stowarzyszenie Miłośników Kowar zaprosiło nas na XXXI Międzynarodowe Sympozjum Sztuki Włókna „Warsztat Twórczy – Kowary 2004”, które odbędzie się w dniach 4-19 września.

W tegorocznych warsztatach swój udział zapowiedziała prof. Irena Huml, wybitny krytyk sztuki, znawca tkaniny artystycznej.

Od 6 do 15 września w siedzibie Stowarzyszenia Miłośników Kowar przy ul. Górniczej 1 czynna będzie wystawa „W kręgu sztuki Wandy Bibrowicz”.

Prezentowane będą prace wykonane pod kierunkiem prof. Ewy Marii Poradowskiej-Werszler, kuratora Warsztatów Twórczych Kowary.

kilkaset projektów i ponad 100 zrealizowanych tkanin. Jedną z jej prac znajduje się w Pałacu Ślubów w Iwówce Ratuszu.

Od 18 września, także w siedzibie Stowarzyszenia Miłośników Kowar, będzie można oglądać wystawę prac artystów biorących udział w Warsztatach Tkackich Kowary. Wystawa potrwa do końca listopada br.

Przygotował: Krzysztof Sawicki
redaktor naczelny Kuriera Kowarskiego
krzysztof.sawicki@kurierkowarski.pl

Zaprosili nas

• Tadeusz Kantor – rysunki z kolekcji „A”, obiekty, filmy
BWA, Jelenia Góra, ul. Długa 1, wystawa czynna do końca września br.

• Przyroda Spitsbergenu w fotografii Andrzeja Raja

Wystawa jest wynikiem udziału Andrzeja Raja (zastępcy dyr. Karkonoskiego Parku Narodowego ds. ochrony przyrody) w wyprawie naukowej na Spitsbergen zorganizowanej przez Uniwersytet Wrocławski latem 2003 r. Muzeum Przyrodnicze, Jelenia Góra-Cieplice, ul. Wolności 269. www.muzeum-cieplice.com, wystawa czynna do października br.

• Jelenia Góra i jeleniogórzanie 2004

wystawa pokonkursowa Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego
ODK Jelenia Góra-Zabrze, ul. Komedy-Trzcńskiego 12, wystawa czynna do końca września br.

• Tadeusz Biłozor – Fotografia

Galeria Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego
Jelenia Góra, ul. Podwale 1a, wystawa czynna do końca września br.

Czym są „Obrazki stąd” dla kogoś, kto odwiedził Lubomierz raz lub nawet kilka razy, a czym mogą być dla kogoś, kto w Lubomierzu spędził dzieciństwo u dziadków i młodość w szkole średniej?

Nigdy nie myślałam o Lubomierzu, jako o miejscu pielgrzymkowym, choć przecież znany „od zawsze” kościół i klasztor nadają niepowtarzalny charakter miastu zagubionemu wśród

wzgórz. Wydawało mi się, że znam tu każdy kamień, każdy zaułek, a jednak okazało się, że Lubomierz oglądany oczami zaproszonych przez Daniela Antosika fotografów, potrafił mnie zaskoczyć i zauroczyć. Przede wszystkim samo miejsce, gdzie pokazywana jest wystawa. Dawny kościół, przez lata ograbiany, używany także jako skład i magazyn, wrócił do życia zamieniony dziś na galerię i znowu przyciąga do miasta ludzi. Niezwykłą atmosferę tego miejsca w niepowtarzalny sposób chwyciła Ewa Andrzejewska, której fotografie przyciągają natychmiast uwagę każdego z odwiedzających galerię. Tuż obok, za klasztornym murem, zwykle na co dzień miejsca, niezwykle uczynił Marek Likszet. Jego nastrojowe panoramy, najbliższe są chyba tym, których z Lubomierzem łączy magia spędzanego tutaj dzieciństwa.

Trudno wymienić wszystkich uczestników wystawy prezentowanej aktualnie w Galerii za Miedzą. Każdy z nich znalazł w Lubomierzu i jego najbliższej okolicy coś, czego na co dzień nie zauważają nawet tutejsi mieszkańcy. Jak napisał w katalogu wystawy, jej inicjator Daniel Antosik, z wizyt jego fotografujących przyjaciół w Lubomierzu powstał nietuzinkowy zestaw prac, sięgających daleko poza prostą rejestrację rzeczywistości.

Agnieszka Kubik-Jaśko

„Obrazki stąd”
Ewa Andrzejewska
Daniel Antosik
Marek Dziedzic
Maciej Hnatiuk
Jacek Jaśko
Marek Likszet
Tomasz Mielech
Janusz Moniatowicz
Andrzej Ploch
Wojciech Zawadzki
Galeria za Miedzą,
Lubomierz, ul. Kościuszki 4.
Wystawa czynna
do końca września br.



fol. Daniel Antosik



fol. Jacek Jaśko

Aktualności

Zenon Harasym „Foto-objekty”



Towarzystwo Miłośników Wrocławia i kurator Ewa Kaszewska informują, że w dniu 9 września 2004 r. w Galerii „2 piętro” (kamieniczka Małgosia we Wrocławiu) odbyło się otwarcie wystawy.

Bezkrwawe łowy na jelenia

Ciąg dalszy fotografii „z Jeleniem...”

Tym razem jelen z wrocławskiego Rynku.



W najbliższych numerach

- Jeleniogórskie atelier fotograficzne Hugo Barthelsa i jego następców – Ivo Łaborewicz •
- Dawna witrzolejnia w Szklarskiej Porębie Dolnej – Przemysław Wiater • Leszek Różański – Rysunki
- Archiwalia Dolnośląskie • Wydarzenia • Aktualności

KARKONOSZE

Redakcja:

ul. Grodzka 16 (Baszta Grodzka)
58-500 Jelenia Góra
tel. (+48 75) 642 87 17
www.pakt-gallery.pl/karkonosze

Kolegium Redakcyjne:

Dom Spotkań Kopaniec
Kopaniec 115, 58-512 Stara Kamienica
tel. kom. (+48) 698 966 410

Redaktor naczelny:

Jacek Jaśko: typ@pnet.pl, jasko@pakt-gallery.pl

Nakład: 5000 egz.

ISSN 1232-3535

Wydawca, druk:

Studio Wydawniczo-Typograficzne
„Typoscript” Andrzej Ploch
ul. Wojszycka 15, 53-006 Wrocław
tel. (+48 71) 339 83 14, typ@pnet.pl
www.pakt-gallery.pl

Redaktor techniczny:

Anna Noga: typ@pnet.pl

Okladka: „Równia pod Śnieżką”

fot. Andrzej Ploch

Współpracują:

Daniel Antosik, Małgorzata Bakalarz, Hubert Bilewicz, Adam Bończa-Pióro, Mariusz Czerski, Wojciech Jankowski, Andrzej Jerzy Lech, Zbigniew Kulik, Dom Gerharta Hauptmanna, Ivo Łaborewicz, Kazimierz Piotrowski, Stowarzyszenie Międzyregionalnej Wymiany Kulturalnej w Berlinie, serwis www.karkonosze.info.pl, Wojciech Szczerepa, Szkoła Podstawowa im. Caspara Davida Friedricha w Kopańcu, Henryk Waniek, Przemysław Wiater, Wojciech Zawadzki



Stowarzyszeniu Międzyregionalnej Wymiany Kulturalnej w Berlinie dziękujemy za udostępnienie materiałów z wydawnictwa „Wspaniały krajobraz. Artyści i kolonie artystyczne w Karkonoszach w XX wieku”.

Serdecznie dziękujemy Czytelnikom za przekazywane nam rady, a Autorom za teksty nowych artykułów.



Dom Fotografii

pakt gallery w Szczawnie Zdroju

www.pakt-gallery.pl

Fotografie: Maciej Hnatiuk i Marcin Kielbiewski

